

WŁADYSŁAW STANISŁAW
REYMONT

Z ziemi chełmskiej


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Z ziemi chełmskiej

WRAŻENIA I NOTATKI

I. MISYA

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

— Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misyi, a tak mi głęboko wyryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unii, przed aktem tolerancyi.

„Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia razem z prawosławną. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękłe do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosilo się na dłuższą pluchę, a tu, jakby na dobitkę, przychodzi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

— Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

— Zachorowała w nocy, leży prawie konająca! — mówił, trąc rękawem oczy.

— To idźcież do pani, może wam co pomoże.

— Kiedy się bojamy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi grasowała ospa przez całą zimą.

— A może wam sprowadzić doktora? — proponuję mu bardzo seryo.

Jakby się zdumiał, aż gębę otworzył. Ale naraz rzucił mi się do nóg, całował mnie po rękach i bełkotał wystraszony:

— Dopraszam się tylko o księdza! Doktor nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka, zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze. Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwórkę, bo do parafii mieliśmy cztery opętane mile i roztopami, ale gdym mijał czworaki, wydało mi się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmiącą prosiętą. Powstałem na nią, że w takiej chorobie wyłazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknąwszy drzwi, powiada mi cicho do ucha:

— Musi jaśnie pan posłać po księdza z Panem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem i oczy jej tak błyszczały, że byłem pewien, iż majaczy.

— Ja zdrowa jestem, chwała Bogu! — odpowiedziała. — Ale tylko do mnie można wezwać księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

— A któż chory? — zaczynałem rozumieć ten podstęp.

— Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne, to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby i wyspowiadają się. Strażniki ani się domyślą.

— Chcecie ospę przywlec do chałupy! — krzyknąłem na nią.

— Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! — odparła poważnie.

— Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać! — tłumaczyłem.

— To już trudno. Może Jezus w czym innym okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nieszczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych! — dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazyom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowalowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklekła w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczy”. Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłacała za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

— Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zatury!

Otóż wkrótce po odejździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelaryi, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno, i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi z bliska w twarz i szepnął:

— Jutro w nocy misya!

— Gdzie?

— W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

— Skąd jesteście? — spytałem go mimowoli.

— Z całego świata! — odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

— Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią — rzekł jakimś biblijnym tonem.

— A czy mogę zabrać żonę na misyę?

— Za daleka droga dla dziedziczki. A przytem kobiecie łatwiej umrzeć, niżli dochować sekretu.

Zabierał się do odejścia.

— Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

— Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

— Ale proboszcz będzie na misyi?

— To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafialny propinator!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornalską, mocną szkapę i pojechałem. Przed domem stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy nogą za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się oryentować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, połśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

— Na końcu wsi, po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadziły zajadłem szczekaniem. Przed cerkwią, prze-robioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowoli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwnem, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po bródach siwiałły stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi: „Pochwalony” i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

— Strażnik idzie za panem! Trzeba skręcić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! — I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wązka dróżka, obsadzona gęsto wierzbina, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie majaczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyciął się na skręcie, pilnie mnie spoza drzew obserwując, a chłopci maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiegobądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianymi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłótkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otworzyły się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

— Konia można postawić pod szopą. — I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przeszczały bardzo mało światła, ale w czerwonych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszepotali między sobą, i poczułem, że mnie okrążają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o miszę, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

— Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, objaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe a pełne dobroci twarze, te oczy nieulekłe i te męczeńskie głowy „opornych”.

— Chyba obcy tutajby nie trafił! — powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

— Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

— Trzeba się nieraz strzedz własnego cienia.

— A to ciężko się uchronić! Mało to „duszolapów” węszy za każdym opornym!

Parę dni temu wyniuchali Michała Klimiuka z Wisznicy.

— Co się stało? — odezwały się strwożone głosy.

— A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! — zwrócił się do mnie. — Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża niby to za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu któreś nocy, strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ślubną metrykę! Co się im przytem zaraz dostało, to Bóg jeden wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

— Chyba się na to nie zgodzi — wtrąciłem.

— To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unii, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberyi. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłacili za swój ślub i przeróżnych bied się nasmakuje.

Rozgadali się i zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych,

codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi, z kar, płaconych za wszystko: za ochrzcenie dziecka i za nieochrzcenie, za pogrzeby, odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach, z wiecznych a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgrzyzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotonicznie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dyoklecjana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystkim krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakim wciąż męstwem, nieulekli jednak i jednak niezwyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiał; płacz sączył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom zdawał się napełniać szlochaniem, gdy ktoś odezwał się głośno:

— Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

— Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dokąd się Panu Jezusowi spodoba.

— A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiało, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernym skupieniem: posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

— Ot i kara Boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasluchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłysły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś blizkiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

— Należy się im szczery pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklękli wszyscy i zaszemrały gorące szeptu modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

— Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i, patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

— Pan chce z nami na misyę, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionymi oczami.

— Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! — powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta bity i wychodzili.

Noc była na świecie, i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nisko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokim milczeniu. Gdzeniegdzie, we wsiach, zatopionych w ciemnościach, przebłyskiwały światelka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parskały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ruszyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

— Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscu. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

— Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniusko! — padła cicha, a mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda, i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępa. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słychać uderzanie kopyt i brzęk uprzęży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzęzony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

— Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tem mówić, po co się mają ploszyć! — szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

— Zgasić! mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdażyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotony skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalwane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grzązki, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpływały jakby dalekie echa ligawki.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się! — zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

— Kto jedzie?

— Swoi! Swoi! — zerwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu; grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy! — zagadał poważnie pierwszy wóz.

— Tak — że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: swoi!

Słowo „z nadzieją” było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki, i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź majaczyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrągłakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze: grząłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych — rozkazano.

Przystanąłem, i wkrótce podniosły się dookoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją, że zwolna bór napełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i ówdzie szarpać uprzęże, i tuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzmagął się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzałą, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchło coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

— Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się w górę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

— Nie zdążą pędzej, niżli na świtanie.

— Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

— Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

— A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda.

— Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

— Zgasić ogień, a toć lunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zawalono ziemią ognisko i zdeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

— Czy to jeszcze daleko? — spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

— Nie bardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa, i w leśnych mrokach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdolaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystemi drzewami, a otoczone nieprzebytem bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! — zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba — objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo włóczyłem się między gromadami, porozkładanymi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczynali drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytem szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez pozwolenstwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż w końcu i ja okręciłem się szczerzej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtanie i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą, wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzą, panie! — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnym morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słychać było dalekie kwakanie dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roilo się w blednących zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długim, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

— Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

— Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Uśluchano bez szemrania, i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za nimi zwarła się wielkiem półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamany murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu, i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus prawie nagi, skrwawiony w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Pałący wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk i jęk serdeczny:

— Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie z monstrancją i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żwały łan, gdy węń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednym westchnieniem i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszzone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzączały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozplywały się pachnące dymy, i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słychać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrząsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził na chwilę i przycichnął i pochylony jakby się wsłuchiwał w rozdrżane szmery modlitw, w rozelkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którym wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwie ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

- Jezus, Marya! Święty Józefacie!
- Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.
- Cicho, teraz nabożeństwo! — odezwał się ktoś karcąco.
- A niech przyjdą i niech nas wezmą! — podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestrachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, pomilkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

- To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymiały, jak trybularze, bór zaszmrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniejszemu zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwę niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakiejś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroily się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wznosił wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szloch, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenaświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać! — odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnym dymach i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon głosem, zaintonował suplikację.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwymi ustami świętą melodię i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi, zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żalnym płaczem, i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie, i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dzietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!
Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwycciężeni.
Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonym Podlasiu”.

Skała, w którą przez czterdzieści lat były całe huragany piorunów i nie zmożyły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny, i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie p. R.

Konie czekały już na mnie przed gankiem, ale zaledwie wszedłem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a p. R., rozejrzawszy się po zasępionem niebie, zawołał:

— Dzisiaj Św. Jana, wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

Jak się Jaś rozplacze,
Mama nie utuli,
To będzie padało
Do Świętej Urszuli.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb „Czerwonego Podlasia”.

II

Deszcz jednak ustał, i wkrótce po południu wyjrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozbłysnęły siwymi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pół chłopa.

Kraj płaski, równy, jak stół, przestronny; oczy lecą, niby ptaki, w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż za przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonem morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć, wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad nimi tu i ówdzie bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszą się samotne drzewa, i błyskają kopuły cerkiewek.

Wszystkie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdziegdzie wśród łąk, porozrzucanych, niby barwne kilimy, wśród łozin i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczulek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą lekliwie, i spacerują bociany.

A nad drogami dumają stare, pochylone sosny z obrazkami, to wierzyby rosochate przysiadły, niby kumy, to krzyże wyciągają białe ramiona, lub stoi dąb prawieczny, podarty piorunami.

Po wzgórkach piaszczystych i nagich leżą cmentarze, zasadzone gąszczem olbrzymich krzyżów, pochylonych na wszystkie strony, jakby w niemem wołaniu ku wsiom i domom.

Bardzo rzadko spotykamy wozy, a jeszcze rzadziej przechodzi drogą jaki człowiek, przygląda się badawczo i wymija mnie bez słowa. Przejeżdżam wielkie, doskonale zabudowane i prawie puste wsie, bo nawet dzieci uciekają strachliwie w pola, a tylko z poza węgłów i drzew śledzą za mną jakieś nieufne spojrzenia i psy zajadle naszczekują.

Milcząc i dziwnie sennie poruszają się ludzie po zagonach. Nigdzie nie zrywają się wesołe pokrzyki, nie wrzeszczą dzieci, nie rozlega się śmiech i nie rozdzwania piosenka.

Tylko melancholia i łzawy smutek płynie z tych pól niezmiernych. A na każdym kroku stoją święte figury, kapliczki, gdzie Marye w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, Jany Nepomuceny, Chrystusy w cierniowych koronach, i nowe, biało pomalowane krzyże, przystrojone w powiędłe wieńce, kwiaty i różnokolorowe wstęgi.

— Dużo nowych krzyżów! — odzywam się do woźnicy, który przed każdym żegna się pobożnie i czapkę zdejmuję.

— A sporo, bo, jak tylko nastąpi „Polactwo”, to pracowali nad nimi dniami i nocami, żeby nastawiać jak najwięcej.

— I tak ładnie przystrojone.

— Bo ubrali je na ten dzień, kiedy to po wszystkich kościołach odprawiało się nabożeństwo na intencję nieodłączania Chełmszczyzny.

— Byliście na tem nabożeństwie?

— Jakże, przecież cała wieś poszła, nawet i prawosławni nie zostali w domu.

— Widzę, żeście i wy katolik.

— Ja prawosławny! — odpowiedział.

— A chodźcie do kościoła?

— Moi rodzice i starszy brat już Polaki, a ja nie jestem jeszcze pełnoletni.

Przerwał nagle i tylko już odpowiadał, ale bardzo niechętnie i wymijająco, zaczął mi nie dowierzać, bo często łapałem jego nieufne spojrzenia.

— Pan pewnie z Chełma? — rzucił lekceważąco przez ramię.

— Nie, z Warszawy! — zdziwił mnie gniewny akcent jego głosu.

Uśmiechnął się tak wątpiaco, że dałem spokój przekonywaniom, ale nie długo wytrzymał, kręcił się na siedzeniu, zaciął konie, przyglądał mi się z pod oka i, gdyśmy już dojeżdżali do jednego z moich etapów, zagadnął znowu tym samym gniewnym i wzgardliwym tonem:

— A gdzie jechać?

— Do wójta.

— Czy do tego nie zatwierdzonego?

— Do niego właśnie jadę.

Twarz mu się rozjaśniła, spojrzał na mnie życzliwiej i zaczął się tłumaczyć:

— Bo tyle teraz kręci się po wsiach różnych ludzi, co to i po polsku mówią, i przed kościołami się żegnają, i polską wiarę chwala, a potem to namawiają do podpisów za odłączeniem. U nas we wsi był taki jeden, jeszcze na jesieni. Do dyaka przyjechał w goście, a po wsi całe dnie spacerował, do chałup zaglądał, każdego zagadywał, bakę świecił i niby to pod sekretem rozpowiadał, że mają dworskie ziemie podzielić między chłopów. Nasi nie bardzo wierzyli, bo jakże to można za darmo co dostać, ale zaklinał się na wszystkie świętości. A po nim zjechali jacyś panowie z urzędu, przykazali sołtysowi ludzi zwołać i to samo powiedzieli. Jakiś pewnie starszy od całej wsi napisał prośbę i kazał się pod nią wszystkim podpisywać, a straszył, że, który się nie podpisze, to gruntu nie dostanie.

— I dużo się podpisało?

— Ziemia łakoma rzecz, a żaden nie ma jej za wiele, to i sporo się podpisało, nawet i z pomiędzy katolików. Dopiero potem, kiedy się pokazało, że prośba była nie o ziemię, ale za odłączeniem od Polski, niejeden gorzko zapłakał i łbem bił o ścianę. Niektórzy nawet pojechali odbierać tę prośbę, ale... wydrą tam z gardła wilkowi. Jeszcze się z nich wyśmieli, a dyak jak sobie podpił, to po całej wsi krzyczał, jako nareszcie będzie już koniec Polactwu, że wnet wygonią panów i księży, a który chłop nie zostanie prawosławnym, to pójdzie z torbami. Ale psie głosy nie idą pod niebiosy. Prawda, panie?

Słońce zachodziło, gdyśmy wjeżdżali do wsi, obok cerkwi przerobionej z kościoła i stojącej na wzgórku w wieńcu olbrzymich lip i klonów.

Zajechaliśmy pod duży, biały dom, stojący nieco w głębi; przed gankiem wynosiła się potężna grusza, obwisła od owocu, a z boków rozciągał się wielki sad.

Wójta poznałem kiedyś w Warszawie, jeszcze w dniach wolnościowych, więc przywiatał mi bardzo serdecznie i po krótkim wypoczynku zaprosił do obejrzenia gospodarstwa. Zamożność i doskonale gospodarowanie znać było na każdym kroku; żyta sięgały do strzech i czerniały, niby bór, koniczyny były po pas, a w podwórzu, obudowanym w zamknięty czworobok, aż roilo się od gęsi, kur, kaczek i trzody chlewnej. Cztery tęgie krowy wychodziły właśnie na podwórze, pędzone przez maleńkiego chłopaka w płócienej, białej katance.

— Mój wnuczek! Franuś, a chodźcie do nas! — Ale Franuś śmignął w inną stronę.

— Niezwyczajny obcych, to się wstydzi. A to moja córka i gospodyni! — wskazał na wysoką kobietę, idącą ze szkopkami ku oborze. — Zona umarła mi już dawno.

Zaprowadził mnie do byczka, stojącego w osobnej zagrodzie.

— Dostałem za niego nagrodę w Lubartowie na wystawie — rzekł z dumą.

Obejrzałem jeszcze jakąś dostojną maciorę, otoczoną licznym potomstwem, obejrzałem duży sad, prowadzony bardzo starannie i pełen owoców.

— Mój zięć się na tem rozumie, był we dworze przy ogrodniku.

Zwróciłem uwagę na stos bali, przykrytych spadzistym dachem.

— Na dom dla mojego najmłodszego, drzewo suche, jak pieprz.

— Czy służy w wojsku?

— Nie, panie, skończył szkołę nałęczowską, a teraz praktykuje we dworze.

Wróciliśmy do domu dopiero na kolację.

W świetlicy było bardzo czysto i porządnie, łóżka miały przykrycia z prześlicznych kilimów, w rogach stały szafy, na ścianach pośniewały za szkłem święte obrazy, a pomiędzy nimi Kościuszko, Leon XIII i Kordecki. Zapalona lampa zwisała od pułapu. Pod oknem na stole leżał komplet *Zorzy* i kilkanaście broszur rolniczych.

— Bo ja jestem członkiem kółka od samego założenia — pochwalił się skwapliwie. — Mam jeszcze trochę innych książek, ale schowane, bo strażnicy tak się do mnie znarowili, że nieraz to nawet nocami przychodzą w gościnę.

— I pewnie dlatego nie chcą was zatwierdzić na wójta.

— A zapowiedzieli, że jak mnie jeszcze raz wybierze gmina, to znowu się przejadę. Byłem ja już na takim spacerze, byłem...

— Daleko?

— W orenburskiej, i ledwie człowiek przywłókł kości z tej drogi!

— Musiało wam być ciężko!

— Że i na szubienicy byłoby lżej! Ale człowiecze szczęście, co dzisiaj zapomina o wczoraj, to się jakoś wytrzymało, i po manifeście wróciłem. A jak nastąpiła tolerancja, to już się zdawało, że raje się otworzyły przed nami. Bo niech pan tylko dobrze w głowę weźmie i pomiarkuje, jakieśmy to żyli na unii! Człowiek był uważany gorzej, niżli ten zwierz najgorszy! Przez trzydzieści lat ani kościoła, ani księdza, ani spowiedzi, ani ślubu, ani pogrzebu. Człowiek rodził się, żył i umierał, jakby w tym kryminale, a tu naraz otworzyli drzwi na wolność. Nawet uwierzyć było ciężko, jakby się śniło!

— A któż was pierwszy zawiadomił o tolerancyjnym ukazie?

— Dziedzic z W... Sadziliśmy właśnie ziemniaki daleko za wsią, gdy mój najmłodszy wstrzymał konie i powiada:

— Ojciec, ktoś jedzie do nas przez pola.

Patrzę, prawda, wali konno na przelaj jakiś człowiek z gołą głową i już coś z daleka krzyczy i wymachuje jakimś papierem. Dziw się nie zatknął ze zmęczenia, ale cały ukaz mi przeczytał. Tak mnie zamroczyła ta nowina, że się nie mogłem poruszyć z miejsca. Musiał mną potrząsać, niby snopem, aż mi się całkiem w głowie rozwidniło — i zmiarkowałem. Poleciałem zaraz na wieś, ludzie już schodzili z pól; krzyczę, rozpowiadam, czytam w głos ukaz, a ci nic, ani be, ani me, stoją, oczy wytrzeszczają i, niby porażeni, coś językami mamlą, a nikt nie rozumie ani słowa. Mieliśmy schowany spory dzwon jeszcze z naszego unickiego kościoła, krzyknąłem na zięcia, wywlekliśmy go z dołu, powiesili na kozłach, i zacząłem bić w niego z całych sił. Przeszło trzydzieści lat nikt go nie słyszał, to i przemówił do wszystkich tym świętym głosem zmartwychwstania. Trudno powiedzieć, co się wtenczas działo. Cała wieś jakby oszalała, zerwały się takie krzyki, takie szloch, takie lamenta, jakby w dzień sądu ostatecznego. Z radości, panie, i z wesela. Rozesłaliśmy zaraz konnych po wsiach z tą nowiną. W maju to było, i o zmierzchu wystroili pod cmentarzem ołtarz, nanieśli światła, zieleni a kwiatów, i do białego prześpiewaliśmy pod nim.

Byli tacy, którzy chcieli zaraz odbierać cerkiew, że to była przerobiona z kościoła.

A rano dyak nam wydał schowane w cerkwi nasze dawne chorągwie, i ruszyliśmy wielką procesją, ze śpiewami do parafialnego kościoła. Wszyscy poszli, nie tylko oporni, ale nawet i prawosławni, nie wiem, czy w całej wsi pozostało z pięć osób do przypilnowania inwentarza.

Zaś pop, jak zobaczył, co się dzieje, zastąpił nam drogę koło cerkwi, zatrzymywał, prosił i zaklinał, żebyśmy nie porzucali prawosławia, groził nawet, ale nikt go nie usłuchał. Mieliśmy do kościoła przeszło siedem mil; ciągnęliśmy ze śpiewami, z rozpuszczonymi chorągwiami, z obrazami, jak kiedyś, jak przed dawnymi laty, a z każdej wsi przyłączali się do nas, że, jakby te rzeki wezbrane, płynął naród wszystkimi drogami, a wszędzie śpiewy nasze, obrazy nasze, krzyże nasze i mowa nasza. Nieraz myślałem, co już nie dojdę i zamrę ze szczęścia. Własnym oczom nie chciało się wierzyć, jak strażnicy zdejmowali czapki przed procesją i rozstępowali się żołnierze. Urzędników jakby nie było, i nikt nam nie przeszkadzał być tem, czem się człowiek urodził: Polakiem i katolikiem. Przez dwa dni i dwie noce kościół był otwarty naroścież; gorzały na ołtarzach światła, biły dzwony, i odprawiały się nabożeństwa, przez dwa dni i dwie noce naród sycił zgłodniałe dusze,

krzyżem leżał, modlił się i sposobił do nowego życia. Cała parafia przepisała się na polską wiarę, nawet dyak przeszedł, a pop zamknął cerkiew i wyjechał. Myśleliśmy, jako się już skończyła nasza kalwaria! Człowiek zaczął się prostować, śmiało patrzeć w oczy i żyć, jak drugie Polaki. Na całym czerwonym Podlasiu, jak u nas przezywają te dawne unickie powiaty, zawrzało, niby w ulach. Skończyły się lamenta, i każdy, jak tylko poradził, brał się do roboty. Pomogli nam niektórzy panowie, tośmy założyli Maciej, Kółko rolnicze, kasę, zaczęli stawiać kościoł, a prawie każda wieś zgodziła sobie nauczyciela, bo już wszyscy, od starych do najmłodszych, chcieli się nauczać po polsku. Każdy rozumiał, co oświata to kij na przeróżne biedy. Tak, panie, było u nas z początku! — Głos mu naraz przycichnął, i twarz się poryła w posępne brózdki.

— Ale źli ludzie niedługo dali się nam cieszyć! Nie w smak im poszły nasze zabiegi! Wiadomo przecież, że ciemnego łatwiej wziąć na postronek. Byłoby dużo powiadać o tem — zakończył śpiesznie.

Do izby zaczęli wchodzić chłopci ze wsi, podawali mi ręce i zasiadali w milczeniu na ławach i stolkach. Zebrało się kilkunastu, w różnym byli wieku, ale wszyscy jednakowo krępi, rozrośli w barach i ubrani w brązowe samodziały, twarze mieli krótkie, surowe, spalone na słońcu i jakby wykute z ziarnistego kamienia, nosy proste i cienkie, włosy asne¹ i bardzo niebieskie oczy. Wpatrywali się we mnie życzliwie, ale zarazem badawczo.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zaśmiał się wójt, przysłaniając okno kilimkiem.

— I pieski też warto pospuszczać — radził jakiś bardzo ostrożny.

Zaczęli się rozpytywać o wyodrębnienie Chełmszczyzny, więc na odpowiedź przeczytałem im cały ten projekt. Wysłuchali w skupieniu, dyskutując nad każdym punktem po kolei. Mówili dobrą polszczyzną, z minimalną domieszką rusycyzmów, jak zresztą mówią lud na całym Podlasiu i Chełmszczyźnie.

— Ale z tego projektu wychodzi, że już postanowili pogrzebać nas żywcem! — odezwał się ponuro siwy, brodaty chłop — bo, jak nas oderwą od Polski, to przepadniemy!

— A jednak przetrzymaliście tyle lat — zauważyłem mimowoli.

— Prawda, ale tylko jednemu Bogu wiadomo, jak nam było ciężko! Przenieśliśmy wszystko człowiek ciągle się żywił nadzieją na lepsze czasy, ale, jak nas teraz odgradzą i spętają w nowe prawa, to się możemy podusić, niby kury w kojcu. Twardy jest nasz naród i wytrzymały, ale i koń więcej nie uciągnie, niżli poradzi! Już dzisiaj niejeden się trzęsie przed nowymi biedami, a co będzie, jak przyjdą?

— Nie strachajcie, Mikołaju! — zabrał głos chudy, pokurczony staruszek — nie strachajcie! — powtórzył cicho, słodko, a z wielką mocą. — Pan Bóg nas ciężko próbował, a przetrzymaliśmy, to i nasze dzieci nie gorsze, też poradzą przenieść, choćby i gorsze jeszcze biedy, i tak samo doczekać się lepszego! Na świecie to jak w marcu, raz deszcz, raz śnieg, raz słońce, a zdarza się i burza z piorunami, ale, kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjść musi! A Pan Jezus przecież powiedział: kto jest poniżony, tego ja wyniosę ponad wszystkie! Trzeba wierzyć i czekać!

— Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo? — zapytał porywczo brodaty.

— Podczas zniesienia Unii?

— Tak. Zaraz na początku 1875 roku przystali nam całe dwie rotys wojska i rozkwarterowali po domach i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

— Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity — wtrącił wójt ze śmiechem.

— Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórce do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach! — szepnął brodaty.

— Jakże to było? — spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

— Zaś w samym piekle nie mogło być straszniej! — zaczął znowu staruszek. — Różnymi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyto, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dnie w pole i przykazywali zgarniać śnieg rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sposób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dnie i noce słyhać było tylko na wsi ryki bydłatek i płacze ludzkie!

¹jasne. [przypis redakcyjny]

Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tukało się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pękały z żalości, ludzie mdleli, dostawali konwulsji, włoczyli się u nóg i, jak psy, skamłali o zmiłowanie nad bydłatkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: „Podpiszcie się!” Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nikt, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysypywali ciężko, jakaś kobieta, skulona pod piecem, rozszlochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

— A nie żalowali nam niczego! Niczego — wyrzekł ktoś z westchnieniem.

— I kiedy odeszli — ciągnął dalej staruszek — to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydlatka, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża, ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć. I żeby nie miłosierdzie Boskie tobyśmy...

— Co było, to i przeszło; ważniejsze, co nas teraz czeka! — przerwał mu jakiś młody.

— Nie śpiesz się, Józef, przyjdzie, i weźmiesz swoje, jak i my brali, weźmiesz...

Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał, jak szczapa na wietrze.

— Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę kłęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego! — wołał gwałtownie, wyzywająco.

— Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj łbem we ścianę, trykaj! — drwił stary.

— Wszyscy tak już wiedzą, jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać, jak barany!

— Józef prawdę mówi — przymówił znowu brodaty. — Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że jużbym może nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginać odrazu, niżli znowu tak żyć, jak dawniej.

— Naród jest poczciwy i pokorny, nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

— Im się wydaje, że my to co? Nie ludzie czujące? Że my z drzewa i można z nas wyciosywać, co się tylko komu podoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

— Żeby nam przyszło głowy położyć, a nie damy się!

— Bójcie się Boga! jeszcze kto posłysz i doniesie! Ludzie! — błagał staruszek, bo chłopci już tracili równowagę, siedzieli wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spojrzenia, a twarze rozpały się gniewem. Kobieta pod piecem rozszlochała się głośno, aż ktoś zakrzyczał:

— Mogliście się już przez tyle lat wypłakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili znowu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szczerzej wywnętrzać, tylko że głosy były już cichsze i trwożniejsze, a słowa wyrywały się z trudem, jakby z pod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek przejmował dusze i pochylał te bohaterские, nieulekłe czoła, rozpaczliwy, beznadziejny smutek wyzierał z przymglonych łzami oczów.

— Aż strach pomyśleć, co się z nami stanie!

— Nawet kalendarz mają nam zmienić!

— I wszystkie święta przemienią po swojemu! Boże narodzenie wypadłoby w styczniu!

— Jakże to może być? Przecież Chrystus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego człowiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

— I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

— Za własny grosz i nie będzie wolno! To już koniec świata!

— A powiadają, że, jak nas tylko odłączą, to wzbronią mówić po polsku, za każde słowo będzie rubla sztrafu. Nawet w kościele nie będzie wolno księdzu ani nikomu po polsku! Ani pieśni, ani nic!

— Jezus Marya! Jezus Marya! — zajęczała kobieta, wznosząc ręce do góry.

— Nikt na to nie przystanie, a i księża przecież się nie zgodzą...

Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili unicy, nie pamiętacie?

— To nie pójdziemy do takich kościołów; do lasów wrócim, Bóg jest wszędzie.

— A i na takich księży znajdzie się kara! Naródby im tego nie przepuścił!

— A niech nas odstąpią, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają, jak te psy wściekłe, i niech się to już raz skończy! Przecież człowiek dłużej takiego życia nie wytrzyma! Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wytrzyma! — zawołał jakiś chłop, lży polay mu się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, płakał, jak dziecko.

— I za co to wszystko? Cośmy komu zawinili? Dlaczego! — biadali bezradnie.

— Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy! — zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wyciągnął ręce do obrazów i zaczął odmawiać głośno „Pod Twoją obronę”.

Cała izba powtarzała za nim głosami pełnymi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział.

— Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej, niżli śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy.

III

O świecie ruszyłem dalej.

Jakby w pobożnej pielgrzymce po takich stacych polskiej Kalwaryi, jak Łomazy, Piszczac, Biała, Horbów, Pratulín, Janów, i tylu innych miejscach, wslawionych cudami chłopskiej wiary i męczeństwa.

I tym krwawym, bolesnym szlakiem, nad którym jeszcze niedawno szalały burze i pioruny, droga ciągnęła mi się kręto i długo, gdyż często musiałem zbaczać do wiossek i folwarków, pogubionych wśród lasów, do chałup, dworów i plebanii, ale najczęściej do chałup, między dawnych „opornych”, między lud, zahartowany w cierpieniach i tak bardzo uświadomiony, a który znowu czekają nowe, może jeszcze sroższe walki o samo już tylko istnienie.

Przez parę tygodni jeździłem po tych cichych, oprzędzonych melancholią i dziwnym smutkiem ziemiach, gdzie każda wieś była przez całe dziesiątki lat niezdobytą twierdzą, każda chałupa okopem walczących do ostatniego tchnienia i każdy człowiek nieustraszoną bojownikiem świętej sprawy.

A codziennie słuchałem wstrząsających opowiadań o przeszłości, codziennie ktoś mi odsłaniał rany, ledwie przyschnięte, i szeptał zbielełymi wargami tragiczne dzieje swoich najbliższych; i codziennie z żywej, krwawiącej jeszcze pamięci wynosiły się postacie świętych męczenników, przerażające sceny „nawracań”, bezprzykładne cierpienia i nadludzkie ofiary.

Długo i boleśnie brzmiały mi w sercu, jakby echa pomarłych płaczów, żalosalne echa jęków i dzikie, rozpierzchnięte odgłosy nahajek, strzałów i skarg.

I snuły się przede mną wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze, jakby niezliczone, blade widma pobitych, które, „jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec”, zwały się w mogilne doły, dając wszystkim żywot na świadectwo swojej wiary niezłomnej i swojego narodu.

I zrozumiałem, dlaczego takim smętkiem owiana jest ta ziemia, dlaczego tam słyhać nocami płacze na rozstajach, dlaczego bory szumią taką posępną skargą, ptaki śpiewają jakoś smutniej, nawet wichry jęczą żałośniej, a pod nizkiem, skłębionem zawsze niebem ludzie przesuwają się cisi, skupieni w sobie, z przytajonymi płomieniami w oczach, drobni, a pełni żelaznej mocy wytrwania, nieulekli, niezmożeni, bohaterscy.

I wtedy także odczułem w całej grozie i wielkości tę jedyną na świecie martyrologię żywych i umarłych, pisaną krwią i łzami całego ludu.

Ale jeszcze głębiej i jeszcze boleśniej zatargały mi sercem ich pytania, gdy po długich litaniach krwawych wspominań przysuwali się bliżej i szeptali:

— A co będzie, jak nas odłączą? Co się z nami stanie?

Na to może odpowiedzieć tylko cała Polska.

I odpowiedzieć musi, bo to sprawa życia i śmierci dla tych najwierniejszych i najniezwyklejszych.

A jakie to dusze wzniosłe, bohaterskie i oddane świętej sprawie, niech opowie krótka historia, jedna z tysiąca, fakt straszliwie prawdziwy i rzeczywiście aż do okropności.

W 1874, w roku zniesienia Unii na Podlasiu, na pograniczu powiatów bialskiego i konstantynowskiego, w małej wiosce Kłoda, należącej do horbowskiej parafii unickiej, biedował na paru morgach niejaki Józef Koniuszewski, a że ziemi miał mało i lichej, to pracowicie dorabiał po dworach i sąsiadach, żeby się tylko wyżywić wraz z żoną, dzieckiem paroletniem i krowiną. Byli to ludzie porządni, spokojni, a bardzo przywiązani do swojego wyznania.

Ale przyszło zniesienie Unii, zaczęto na gwałt nawracać Podlasie i Chełmszczyznę, trafili więc i do Horbowa, spędzili całą parafię pod cerkiew i kazali się wszystkim przepisywać na prawosławie. Nawracanie odbywało się, jak wszędzie, w przepisany z góry porządku i formie. Kto uległ wymowie batów, kto obietnic, kto dłuższym siedzeniem w Białej, ale Koniuszewscy, wraz z wieloma ze swojej wsi, nie ulegli; dostali też sporą porcję, a Koniuszewski nawet więcej, niżli drudzy, gdyż żarliwiej i głośniej bronił swojej wiary, a omdlewając pod nahajami, jeszcze krzychał:

— Polak jestem i katolik! Zabijcie, a nie przejdę!

Nie zabili go, ale za to dłużej musiał się lizać z ran i ciężiej przychodził do zdrowia. A jakby na tem większą niedolę nieszczęśliwych na Koniuszewską, będącą w tym czasie już w ósmym miesiącu ciąży, zwrócił szczególną uwagę strażnik i często zaglądał do wsi, rozpytując się bardzo troskliwie o czas jej rozwiązania.

Zaraz na drugi dzień po urodzeniu się tęgiego chłopaka spadł na nich strażnik, jak sęp żarłoczny, z nakazem, żeby mu dziecko przynieśli do ochrzczenia.

Koniuszewski struchlał, ale matka, chociaż jeszcze chora, zaczęła krzyczeć:

— Nie dam na prawosławne dziecka! Uduszę je własnymi rękami, a nie dam!

Strażnik odszedł, i nazajutrz wezwano Koniuszewskiego do gminy.

— Ja Polak i katolik, to i mój syn będzie taki sam! — odpowiadał krótko i twardo.

Posiedział za to parę dni w kozie, dostał parę razy w zęby, ale nie zmiękł.

W jakiś czas później wezwano go do Białej. Siedział w kryminale wraz ze złodziejami przez dwa miesiące i, chociaż próbowano złamać jego upór na różne sposoby, nie ustąpił i dziecka w cerkwi nie ochrzcił. Wrócił tylko z więzienia jakoś srodze opuchły, posiniaczony i z powybijanymi zębami. Powiadał potem przed sąsiadami, że zdrzemnął się na wozie i zleciał na twardą grudę drogi...

Spróbowali z nim innej metody: musiał płacić za każdy dzień zwłoki po pięćdziesiąt kopiejek.

Płacił cierpliwie, myśląc, że na tem skończą się jego biedy.

Ale wkrótce podnieśli mu karę na rubla dziennie.

Nie ustąpił, chociaż było mu już strasznie ciężko.

A w końcu, aby go złamać ostatecznie, nakazali płacić po całe dziesięć złotych.

Darł się do żywego mięsa, odejmował sobie i dzieciom od gęby, a płacił i chłopaka do cerkwi nie zaniósł.

Lecz rychło przyszedł dzień, w którym zabrakło mu nawet na sól.

Kara jednak nieubłagana narastała; strażnik wisiał nad nimi, jak topór, i co parę dni przychodził po pieniądze, wójt groził więzieniem, gdyż urzędy coraz ostrzej nakazywały ściągać należność.

A skąd było brać? Stodoła była już pusta, wyprzedali się do ostatniego ziarnka, do ostatniego prawie ziemniaka i zapożyczyli się na wszystkie strony.

Zaś zarobek ledwie starczył na jakie takie przeżywienie się.

Wtedy zafantowali im prawie wszystkie ruchomości z chałupy, z rozmysłem nie zostawiając zimowej przyodziewy, ni nawet pierzyn i poduszek, i sprzedali wszystko na pokrycie zaległych sztrafów.

W chałupie pozostały tylko gołe ściany i puste łóżko, że musieli się przenieść na spanie do obórki, listopad bowiem szedł zimny i deszczowy, a nocami brały tęgą przymrozkę, ale się nie ugięli nawet pod takim ciosem, zdecydowani już wszystko przenieść, byle jeno dziecko uratować.

Cóż, kiedy tej chudoby nie starczyło na długo, i kara znów jęła narastać, a strażnik już co dnia ich dręczył i co dnia namawiał:

— Zanieście dziecko do cerkwi! wrócą wam wszystkie sztrafy i jeszcze nagrodę dadzą.

Chłop tylko zęby zaciskał i pięście pod nie podtykał, żeby nie grzmotnąć kusiciela.

Aż któregoś dnia zabrali im maciorę, wartającą ze dwadzieścia pięć rubli.

Koniuszewski sobie rachował, że za nią przeżywią się chociażby do wiosny, więc ciężko zajęczeli po jej stracie, a beznadziejna rozpacz zaczęła szarpać sercami, ale nie dali tego poznać po sobie wójtowi, który pierwszy wszedł do chlewa wyganiać świnie, a tylko Józefowa, widząc maciorę, opierającą się przed progiem, zakrzyczała urągliwie:

— Ugryźcie ją w ogon, to może prędzej was posłucha.

Wójt udał głuchego, a potem przystąpił do chłopca i zaczął mu życzliwie przekładać:

— Nie gub się, człowieku! Widzisz przecież, do czego cię już doprowadziło to uporstwo! Głową muru nie przebijesz! Nie wiesz to, że pokorne cielę dwie matki ssie?

— Żeby nie wiem co, a od swojego nie odstąpię! — odpowiedział w głos.

— Nie bądź głupi, jak drugie! Małoś to już dostał? chcesz, żeby ci jeszcze dołożyli, co? Takie prawo wyszło, to słuchać go musisz. Dziecku się nic nie stanie. A rozgniewasz swoim uporstwem urzędy, to ci gotowi grunt zabrać, i wyjdiesz na dziady.

— A niech mi wszystko zabiorą! A niech mi nawet przyjdzie zdychać z głodu pod płotem, to zdechnę, a dziecka na zatracenie nie oddam! — rozkrzyczał się, a żona mu jeszcze przytakiwała, utulając rozplakane dziecko.

Cała wieś to słyszała i widziała.

I nie przeciągnął go wójt na swoją stronę, nie poradzili tego zrobić później inni, podmówieni, a nawet sam pop, który umyślnie przyjechał do niego; nie puścił go do chałupy i tylko kijem pogroził.

Wlokła się ta sprawa do połowy grudnia; zima się już była ustaliła na dobre, wody skrzepły na lód, śniegi przykryły pola, przemarzłe drogi dzwoniły pod nogami, a wszelkie stworzenie cisnęło się do ciepła, gdy jakiegoś poranku mroźnego spadł na Koniuszewskich cios nowy i może najcięższy.

Przyszli zabrać im krowę, jedyną ich żywicielkę.

W chałupie zrobiło się tak strasznie, jakby wyprowadzano nieboszczyka, kobieta ryknęła płaczem i zaczęła bronić bydłatka, wrzeszczeć a pomstować w niebogłosy, aż się cała wieś zleciała.

Nikt się jednak z pomocą nie kwapił, bo jeszcze wielu nosiło nie zgojone rany.

Koniuszewski też jakoś spokojnie stał w progu, blade był jeno, jak trup, i chociaż mu żalność rozrywała wnętrze, patrzył na wszystko martwemi, zapiekłemi od bólu oczami i nie wyrzekł ani słowa, ale skoro krowina, wyciągana z obejścia, zaryczała i zaczęła odwracać głowę za gospodarzami, porwał jakiś kół i również wziął bronić swojej żywicielki. Nie obronił; mógł to sam przemódz całą tę zgrają?

Tyle tylko zarobił, że go znowu sponiewierali, jak nieboskie stworzenie, a krowę i tak powlekli na sprzedanie.

Luta noc omroczyła im duszę, i gdy żalosne ryki bydłatka ucichły, chałupa stała się jakby tym zimnym grobem, pełnym straszliwych jęków niedoli, kobieta zawodziła rozpacznie, nie mogąc przeboleć tej straty, a chłop siedział martwo pod kominem, jak ten ogień, w który się zapatrzył, palącą, straszną męką przegryzany.

Przeszło południe, wieczór już nadchodził, modrawy zmierzch obtulał ziemię, i po wsi wybłyskiwały światła, a oni wciąż siedzieli, pogrążeni w rozpacz i gorzkich rozpamiętywaniach swojej doli nieszczęsnej. Zaglądali do nich niektórzy sąsiedzi, ale, dojrzawszy sine, okrwawione twarze, zakrzepłe w bólu i rozpacz, uciekali strwożeni. Dopiero późnym wieczorem oprzytomnił ich płacz zgłodniałych dzieci.

— Cóż teraz pocniemy? — odezwała się kobieta, nastawiając garnek z wodą na ogień.

— Nie ustąpimy! — rzekł i długo patrzył w jej zapłakane oczy.

— Dziecka nie dam! — przytwierdziła mocno — a może Pan Bóg zlituje się jeszcze nad nami.

Mieli w sobie taką niezłomną wiarę w świętość swojej sprawy, że nie było na świecie mocy, któraby mogła ich zachwiać w powziętem postanowieniu.

Ale jak tu było żyć dalej?

Niemógł się nigdzie ruszyć za robotą, bo literalnie nie miał w czym, a mrozy brały coraz większe, więc tylko żyli tem, co im przyniosły miłosierne ręce sąsiadów, a tego było niewiele, gdyż wieś była strasznie zbiedzona i tak w czasie „nawracania” objedzona przez żołnierstwo, że nie w każdym domu mieli ziemniaki, a już okrasy i chleba to nie widzieli całymi miesiącami.

Ale w chałupie Koniuszewskich była już tylko rozpacz i głód.

Chłop targał się w męce i prawie już od rozumu odchodził, żeby sobie jakoś zaradzić, a tyle jeno wymyślił, że któregoś dnia pożyczył sobie od sąsiada kozucha, nogi poobwijał w lachmany i, nie opowiadając się nawet żonie, ruszył gdzieś we świat.

Poszedł po ratunek do księdza.

Droga była daleka i niezmiernie uciążliwa, szedł przytem o głodzie i musiał kołować i kluczyć borami, omijając wsie i trakty, na których mógłby się spotkać ze strażnikami, więc dopiero drugiego dnia dowlókl się na plebanię.

Ksiądz był w domu, ale skoro się dowiedział, że to „oporny”, tak się wystraszył, że nie chciał go widzieć na oczy i przykazał surowo kościelnemu nie wpuszczać nieszczęśnika nawet do kościoła. Szczęściem kościelny miał litościwsze serce i pozwolił mu wejść do kruchty, gdzie Koniuszewski całą noc leżał krzyżem i żebrał krwawymi łzami o zmiłowanie, a rano, po mszy, upatrzwszy odpowiednią chwilę, padł do nóg proboszczowi, wyznał się ze wszystkiego i skamlał o ochrztenie dziecka.

Ksiądz wysłuchał, nawet się nad nim rozczulił, dał mu parę złotych i medalik, ale o chrzcie nie dał sobie mówić i jak najsurowiej zakazywał mu więcej przychodzić na plebanię...

A chociaż z niczem powrócił do chałupy, nie stracił jeszcze nadziei, bo wkrótce wybrał się do jednego z dworów, gdzie często chodził na robotę. Cóż, kiedy dziedzic kazał go wypędzić: bał się również, aby go nie posądzono o pomaganie „opornym”, na całej bowiem unii wciąż jeszcze świszczały nahajki, tłukły kolby, tysiące gnano w dalekie strony, i rozlegał się żalony płacz „nawracanych”. Koniuszewski zapłakał pierwszy raz w życiu nad swoją niedolą i odszedł.

Dopędził go za bramą dworski kucharz i z dobrego serca mu poradził, żeby się udał do starej pani hrabiny Łubieńskiej w Jabłoni, która jak może, tak wspomaga i broni prześladowanych unitów, a już niejednego uratowała od zguby.

Ale chłop tylko się smutnie uśmiechnął, obtarł rękawem oczy i już nigdzie więcej nie poszedł, nie szukał już u nikogo więcej poratunku, bo zrozumiał, że pozostał sam na świecie, jako to drzewo na wywieisku, i że zginąć musi...

Opowiadali potem ludzie, jako po powrocie wciąż się tylko modlił, a z chałupy przez całe noce rozlegały się pobożne śpiewy.

I kiedy przed samymi Godami dali mu znać pod wielkim sekretem, że mają mu siłą odebrać dziecko i ochrzcić je w cerkwi, nawet nie rozpaczał, jakby już na wszystko przygotowany, a tylko rzekł tym, co mu tę wiadomość przynieśli:

— Długie mają ręce, ale mojego chłopaka nie dosięgną.

Stał się nawet jakiś rozmowniejszy i prawie wesoły, chodził po wsi, zaglądając do chorych, leczących się jeszcze z pobicia, umacniał w wierze chwiejnych i wyznawał się przed niektórymi, że postanowił zabrać żonę z dziećmi i wywieźć się we świat szeroki, gdzie go oczy poniosą!

Nie dziwili się temu, przecież już był osaczony, jak ten dziki, szkodny zwierz, a nawet któryś z zasobniejszych chciał mu pożyczyć na drogę, pod zastaw gruntu.

— Na taką drogę wystarczy mi tego, co mam — odpowiedział cicho.

I jeszcze tego samego dnia oboje Koniuszewscy zaczęli się żegnać ze wsią i pokornie wszystkich przepaszali za złe, jakie mogli komu uczynić.

Mówili, że wyjdą w nocy, ale nikomu nie powiedzieli, dokąd się wynoszą.

Pożegnali się, i już ich nikt więcej nie widział na oczy.

Noc się zrobiła ciemna, mróz sfolżał, i niekiedy padał śnieg gęsty i pierzasty, a chwilami przeciągał wilgotnawy wiatr, jakby na odmianę. Psy tej nocy jakoś dziwnie, swarliwie naszczekiwały, i koguty piałły od samego wieczora.

Naraz, o samej prawie północy, chlusnął w niebo słup ognia, i rozległy się po wsi krzyki.

Palila się stodoła Koniuszewskich.

Ale, nim się zbiegli, a pomyśleli o ratowaniu, już cała stanęła w płomieniach.

Koniuszewskich w chałupie nie było, musieli wyjść zaraz z wieczora.

Zdumieni się jednak niezmiernie, znalazłszy chałupę wywartą naroścież, a w izbie, na stole, pokrytym białym płótnem, zastawioną wieczerzę, zupełnie jeszcze nietkniętą.

Długo nad nią kiwali głowami, nie mogąc tego zrozumieć, aż ktoś rzekł z naciskiem:

— Musiało im coś przeszkodzić, kiedy tak wszystkiego odbiegli.

— A może są jeszcze gdzieś na wsi...

— Jużby do ognia przylecieli; nie, w tem jest coś innego.

Pogadywali niespokojnie i wyczekująco rozglądając się dokoła, ale Koniuszewscy się nie zjawili, natomiast pożar wzrastał z minuty na minutę, ognistą płachtą pokrył już cały dach i czerwonymi jezorami przeciskał się wskrós ścian; na szczęście wiatr całkiem ustał, a rozwichrzony grzywy czarnych dymów i płomieni wynosiły się coraz potężniej z trzaskiem i sykiem, rozsiewając krwawe brzaski na gromady, wylęknione i tłoczące się bezradnie, i na ośnieżoną chałupę, nisko przywartą do ziemi.

Wreszcie sołtys zaczął napędzać do ratowania, że ten i ów się poruszył i biegł z krzykiem, nie wiedząc zresztą, co począć, ktoś nawet próbował wyciągnąć wóz, którego dyszel sterczał przez wrótne stodoły, lecz niepodobna było już podejść bliżej; cały budynek stał w ogniu, paliło się na wszystkich czterech węglach, a ze słomianego dachu sypał się na głowy żywy ogień.

Przyleciał wkrótce strażnik i, nie zważając na pożar, zaczął bardzo żarliwie rozpytywać, gdzie się podzieli Koniuszewscy, i tak zajadle szukał, tak za nimi tropił, zaglądnął nawet do ziemniaczanych dołów i na strychy, aż się z niego przekpiwali między sobą, a ktoś odważniejszy zawołał ze śmiechem:

— Schowali się do stodoły; niech pan starszy sprawdzi...

Juści nie sprawdzał, bo stodoła była już tylko huczącą górą rozmiotanych płomieni, już trzeszczały wiązania, już chwiały się dach, wzdymały się rozpalone ściany, pękały belki, a co chwila wybuchały ogniste fontanny, i krwawe żagwie, niby spłoszone ptactwo, rozlatywały się na wszystkie strony świata. Noc była cicha i ciemna, śnieg zaczął polatywać gęstymi rojami, we wsi sąsiedniej bił dzwon na trwogę, i psy wyły jakoś długo i żałośnie; ludzie zaś stali kupami, z cicha pogadując, gdy wtem, jakby z nieba, czy z tych szalejących płomieni, zabrzmiał stłumiony, daleki śpiew, jakby przeciągły krzyk konających...

Struchleli z przerażenia, zamarzy serca, i wszystkie oczy stanęły kołem.

A płomienisty kierz śpiewał coraz głośniejszy, coraz wyraźniejszy i coraz zrozumiałej...

Nikt się nie mógł poruszyć, jakby ich wbiła w ziemię kamienna pieśń strachu; dopiero po długiej chwili ktoś zakrzyknął:

— To Koniuszewscy!

— Jezu, Marya! Koniuszewscy! Ratuj, kto w Boga wierzy! Jezu, Marya!

Jakby huragan szaleństwa ich porwał i rozmiótł na wszystkie strony; lunęły wrzaski, szlochania, lamenty; biegali nieprzytomnie dokoła ognia, wyciągali ręce, targali się za włosy, uciekali w pola, to krzyczeli nieludzko w strasznej męce żalów i bezradności, bo ani można było myśleć o ratowaniu, dach się bowiem wygiął i mógł lada chwila runąć.

Ale śpiew wciąż jeszcze płynął, równy, wysoki, niebosiężny, był jakby radosnym witanem rajy, hymnem zmartwychwstających, ekstatyczną pieśnią wiary...

Runęli wszyscy na kolana i zaczęli odmawiać modlitwę za konających. Głosy się trzęsły i łamały, zalewając łzami, niekiedy wybuchał ogólny płacz, niekiedy ktoś padał na ziemię ze strasznym, rozdzierającym krzykiem, i łkania rozsadały piersi, ale modlili się całą głębią dusz, i ta litania zrozpaczonych, łzawych głosów łączyła się ze śpiewem konających i wraz z szumem pożogi, z trzaskiem pękających ścian płynęła jednym, ogromnym jękiem w bezkresną, nieprzenikloną noc...

Naraz stodoła się zapadła, i z głębi ognistej otchłani wydarł się ostatni, przerażający krzyk...

Dopiero w parę dni później wydobyto z pod zgliszcz zwęglone zwłoki Koniuszewskich.

IV

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej Podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze ciężki za uparte trwanie przy unii. Było to wtedy, kiedy „Misya Bialska” jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostołskiej gorliwości, próbowała oczyścić cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Nieszczęściem dla Hrud było to, że leżały za blisko, owej „Misyi”, musiały się więc stać jakby polem doświadczalnym dla siewców „czystej i jedynej prawdy”. Ale

grunt okazał się dziwnie jałowy i, pomimo bardzo obfitego umierzwiwania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki „uporstwa”, jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unii, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród dzwonów, kadzielnich dymów i brzmiących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiłowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceł Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błogocynnego Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznymi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacją pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiła się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przymaszerowała rota piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące zabawiali się na koszt Hrud.

I przez całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwozy po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gnily, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż żołdacki, stodoły pustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystym zbożem, płoty sły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup, i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudę zapłacili jeszcze kontrybucję, kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy dorabiano się, jakby po strasznym pożarze.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, strażę czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień „Zwiastowania”, zjawił się najniespodziewaniej nowy „ukazowy” proboszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błogocynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopi znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy Starosielec wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo popołudniu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce drzemiące po sadach. Na szczęście ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kalwakatę, wyjeżdżającą z lasów, i, poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament; kto tylko żył, chwycił, co mu tylko wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiałwszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędeż dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótne, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopi runęli na nich z ogromnym krzykiem i rozmiętli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

Wchodzili do Hrud tryumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanymi rękami, stanęli jednak nieulękle w obronie

swojej cerkwi, tylko, że opór trwał już bardzo krótko: szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę „narzutowi”, który też ostatecznie objął parafię w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ni jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie² był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy; pogoili się plecy, wyrównały się szczyby w dobytku, obeschły nawet łzy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie považył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były niby niemy krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unii.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostołskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omlot pracowity, ale plon niezmiernie lichey...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwardzale „uporstwujuszczymi”, ale zapisano je do panującego kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie toczyło się wciąż jedną koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieroty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza. Nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się, jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanią przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie postąpiła nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach, skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grzebano pokryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów t. zw. „krakowskich” jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę straszego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrrodzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było nikąd. Przed „opornym” zamykały się wszystkie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudy zważyło się nowe, chociaż już od dawna groźnie wiszące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natychmiast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nie ochrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi poniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziano, co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdym sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów „dawnego”, jeszcze niektórzy mieli niezagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami...

„Co robić? Co robić?” — trzepotały się trwożliwe, zażawione szepty.

²chałupie. [przypis redakcyjny]

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani powstało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zaturę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgnębione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterkich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulekłe patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namysłów porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im za to przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą kohortą chodził po wsi, wycytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopci drapali się frasobliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzyły jak rozjuszone wilczyce, ale po przejściu wójta, i gdy chłopci pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się śpiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt się naraz obejrzał i, ujrawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzie baby? Gdzie dzieci?...

Ponure, ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć:

— Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkich was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowytym, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturmem, jak fortecę.

Nielatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za szturmem; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka, i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

W końcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drapały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte, jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisy, próbowali wyciągać nawet bosakami, ale nic nie pomogło.

Przetrzywały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopci przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznymi karami za opór i odjechał z całym towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i narazie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samem świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę, i rozniosły się złowrogie krzyki:

— Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto w Boga wierzy!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnow, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwał się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porywał za włosy i trwoga wyla w sercach, stali w jakimś nagłym skamienieniu i patrzyli ślepymi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędcę i, jak która stała, bosy i w koszulach, zaczęły się niepostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola i przepadły w szarudze i w skołtunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiała się ani jedna; były już w bezpiecznym schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędy! — podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły.

A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały dzień i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłymi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; codzień szły nieskończone szarugi, codzień wichry z dzikim, rozżartym skowytym spadały na wieś, przewalały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych jęklowych poświstach bolesne zawodzenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrozące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce i księżycowa poświata zalewała omglone pola i las stał przelśniony, cichy i zadumany, to niejeden byłby przysiągł, że widzi między pniami białe widma, które wyciągają błagalnie ręce i coś krzyczą, i czegoś się skarżą, i czemuś się żalą...

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się, jakby palące żalością łzy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanym oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że się ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

Na świecie zaczęło się nieco wypogadzać, i przy końcu kwietnia zdarzały się już dni cieplejsze i słoneczne; puszczały się trawy, ruszały oziminy, pękały drzewa, kaczeńce obśiadały łąki, ptactwo zaczynało krzyczeć po sadach i gąszczach, rankami klekotały bociany, a skowronki całe dni dzwoniły pod jasnym, czystym niebem, wiosna szła wszystkim światem i śpiewała coraz potężniej swój hymn nieśmiertelny, ale nie widziały jej oczy, zaropiałe od nieustannych, gorzkich łez, nie czuły jej dusze, przegrzane męką, i nie było jej po chatach, pełnych tylko płakania, żaloby i beznadziejnego smutku.

Przeszedł czwarty tydzień nie powróciły!

Ludzie ślaniali się, jak cienie, poschnięte od gorączki, a wieś stała się nie milknącym lamentem pieśni pogrzebowej; codzień wieczorem w każdej chałupie paliły się gromnice

i odmawiano modlitwy za konających, a długo w noc były ku rozgwieżdżonemu niebu płacze serdeczne, były żebracze prośby, były westchnienia, przejęte wiarą i ufnością...

Przeszedł piąty tydzień — nie powracali.

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzucało się prosto na bagnety, aby się dostać do lasów i raczej umrzeć, niżli dłużej znosić to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej obręczy i wracali jeszcze bardziej smutni i udręczeni.

Przeszedł szósty tydzień — nie powrócili!

Wreszcie i wojsko miało już dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrud.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się na przełaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębin zaczęły się pokazywać jakieś mary; szły zgarbione, o kijach, prawie nagie, wynędzniałe, rozkudłone, szerniałe, podobne do szkieletów, ale radosne, jak słońce, jak wiosna, tryumfujące, i, jak samo życie, niezwykczone!...

Zwalczyły głód, strach, opuszczenie, zimno i choroby; zwalczyły samą śmierć, ocaliły dzieci, i oto wracały te wielkie, te bohaterskie, te święte dusze w domowe progi, do codziennego trudu i do codziennej walki.

A na zakończenie bolesnej sprawy tych chrztów przymusowych przytoczę już ostatnią scenę, jaka się jeszcze rozegrała w tych samych nieszczęsnych Hrudach i w tymże 1876 roku.

Po wyjściu wojska i powrocie kobiet z lasów życie popłynęło zwykłym łożyskiem codziennych zabiegów, kłopotów i nieustających lęków. Wprawdzie matki zwyciężyły narazie, ale ani one, ani też nikt w całej wsi nie ludził się ni przez jedną minutę, żeby to wszystko miało się już skończyć na zawsze; dobrze bowiem widzieli, jak pop się przyczaja, jakby tylko wyczekując sposobnej chwili. Mieli się więc również na baczności, oczekując ze drżeniem jeszcze straszniejszego ciosu. Kobiety z dziećmi sypiały po strychach, obórkach i stodołach, aby w każdej chwili, na każdy sygnał niebezpieczeństwa znowu uciekać do borów, a chłopci dniami i nocami stróżowali po wszystkich drogach.

Nie upilnowali jednak, gdyż w parę tygodni później, pierwszej ciemnej i zadeszczonej nocy, do chałupy Apolonii Szuckiej, jednej z matek najbardziej opornych, ktoś zapukał.

Chałupa stała nieco w głębi, na końcu sadu; w izbie była tylko Szucka z kilkoletnim dzieckiem, bo mąż został już przedtem wysłany, więc, dosłyszawszy pukanie, strwożyła się, ale poszła do okna i zapytała:

— Kto tam?

Za szybami mignęły jakieś złowrogie twarze, szczerknęły pałasze, i rozległy się takie głosy, od których ścierpła jej skóra. Zrozumiała natychmiast, kto się dobija i po co.

Porwała dziecko na ręce i, oszalala ze strachu, rzuciła się do ucieczki, ale już stali pod drzwiami i oknami, chałupa była otoczona i, zewsząd groźnie krzyczeli:

— Otwierać! Otwierać!

Kolby coraz niecierpliwiej waliły o ściany.

Stała przez chwilę na środku izby, nie wiedząc, co począć i napróżno szukając jakiegoś ratunku, i tak skamieniała przerażeniem, że nie mogła się poruszyć, dopiero kiedy drzwi zahuczały pod uderzeniami kolb i okna z brzękiem posypały się na ziemię, skoczyła na strych, wydarła dziurę w poszyciu i zakrzyczała straszliwym głosem rozpaczy:

— Ratunku! Ratunku!

Ale drzwi niedługo się opierały, i z dzikim wrzaskiem runęło do środka kilkunastu ludzi. Ściągnęli ją na dół, zbili, sponiewierali, jak lachman, i chociaż bronila dziecka, jak rozwścieklona wilczyca, odebrali je nawpół zduszone w szamotaniach i ponieśli z tryumfem do cerkwi.

Szucka zawyla w niebogłosy, napróżno usiłując odebrać swoje dziecko; napróżno miotała się na nich z dzikim skowytym rozpaczy, napróżno rzucała się przed nimi na kolana z płaczem i błaganiami, wlokła się im u nóg i całowała po butach, wszystko było napróżno; ale, sto razy odpędzana, bita kolbami, tratowana, podnosiła się wciąż z nowym krzykiem i z nowymi siłami, tylko w coraz straszliwszym zapamiętaniu i boleści.

Cała wieś rozbudziła się w gnieniu oka, kobiety z dziećmi uciekały do lasów, a reszta wypadła na drogę i wlokła się wzburzona i ponura za strażnikami, nie odważając się

jednak odbijać dziecka, które zanosilo się płaczem, bo matka raz po raz rzucała się ku niemu na ostry, nieprzebyty las bagnatów i ryczała:

— Ludzie, oddajcie mi dziecko! Ludzie, miłosierdzia!

Strażnicy uciekali z łupem coraz prędzej, jak stado wilków, odcinając się na wszystkie strony kłami bagnatów i przekleństwami, gdyż krzyk Szuckiej tak rozdzierał serca, że chłopcy występowali z coraz groźniejszym pomrukiem, wreszcie cerkwi dopadli, i ciężkie okute drzwi zawarły się z hukiem za nimi.

Szucka rzuciła się na nie z wściekłością — były zawarte na sztaby.

— Oddajcie mi dziecko! Nie chcę waszej wiary! Ono już ochrzczone! Nie gubcie jego duszy! — krzyczała, nadaremnie targając drzwiami. Potem oblatywała cerkiew i darła się po gładkich murach do oświetlonych okien, ale posłyszawszy płacz dziecka, wpadła w furję i biła ogromnymi kamieniami w ściany, biła sobą, rwała cegły okrwawionymi rękami, gryzła żelazne okucia drzwi, to znowu, przypadszy do gromady, stojącej w ponurem milczeniu, zaskowyczała chrapliwie ostatkami sił i ostatkami przytomności:

— Ratujcie mi dziecko! Nie dajcie na wieczną zatrutę! Chłopiec ma czwarty rok! Już umie cały pacierz, nasz polski, nasz katolicki pacierz! Jasio ma na imię! Mało przy nim nie umarłam! Był ochrzczone zaraz po urodzeniu! Przecież go zapisali, żyją jeszcze kumy, wszyscy wiedzą! Zlitujcie się nade mną! Wzięli mi męża, matka skończyła pod batami, w chałupie niema ani skibki chleba, zostało mi tylko to jedyne dzieciątko! A teraz mi je zabierają! Zostanę sama jedna na świecie! Przecież tak samo mam plecy nie zagojone, przecież, jak i drugie, broniłam i nie dałam! Czy to już koniec świata! Czy to już niema Boga i sprawiedliwości! To niech mnie już dotłuką, jak psa, byle tylko dziecka nie gubili! Ludzie! Ratujcie! Ratujcie!

Wszyscy płakali, słuchając tych straszliwych lamentacy, rzesiste łzy broczyły po zoranych cierpieniami twarzach, szloch rozrywały serca, i jak ten deszcz, trzepiący w liście drzew, okalających cerkiew, tak smutnie szemrały beznadziejne płacze, żalosne westchnienia i bezsilne jęki.

— Woła mnie! Woła! Słyszycie! — wrzasnęła naraz nieludzkim głosem, rzuciła się na oślep do cerkwi i padła zemdlna.

Odnieśli ją do chałupy i ledwie się docucili.

Świt się już zrobił, i szary, zadeszczony dzień zajrzał w jej oczy, smutkiem wyżarte, gdy, zupełnie oprzytomniawszy, jęła się rozglądać po izbie. Już ani jedna łza nie pociekła po skamieniałych policzkach, ani jedno słowo skargi nie wyrwało się z piersi, ani jedno pytanie nie padło, ale była taka trupio blada i takimi bez dna oczami patrzała, że nikt nie śmiał do niej zagadać, i wkrótce się porozchodzili.

Pozostawiała drzwi powybijane i okna sprzętami, szafami i czem jeno mogła, rozpałała gromnicę przed obrazem Częstochowskiej, uklękła i zaczęła czytać z książki modlitwy za umarłych.

A może w jakąś godzinę, już o dobrym dniu, ktoś zaczął się dobijać do chałupy.

Nie usłyszała, zatopiona w żarliwej modlitwie, dopiero jakieś ciche dziecinne kwilenia poderwały ją nagle z klęczek. Wyjrzała oknem i aż się zatoczyła na ścianę, ale się przemogła i, przypadszy twarzą do ziemi, modliła się jeszcze goręcej.

— Otwórzcież, przynoszę wam dziecko! — zaskrzeczał niecierpliwie jakiś głos za oknem.

— Nie mam już dziecka! — rozległ się grobowy głos matki.

— Tylko bez „szutek!” Odnoszę wam Fiediuszkę, i musicie wyprawić chrzciny!

— Precz! Nie mam dziecka! A jak mi to cudze szczenię wpuścicie do chałupy, to je zatłukę, jak psa! — powiedziała jakimś obłąkańczym głosem, że strażnik posadził dziecko pod ścianą i uciekł.

Szucka modliła się dalej, wołając skrwawionem sercem o litość i miłosierdzie.

Dzień był zimny i wilgotny, deszcz padał i zaciął w okna, czasem wiatr zamiatał drzewami, a pod ścianą w błocie i kałużach gmerało się rozplakane dziecko, macało po drzwiach, usiłowało dosięgnąć okna, i co chwila rozlegał się płaczliwy, słaby głosik:

— Mamo! mamusiu! wpuście Jasia! wpuście!

Szucka, jakby rozpięta na krzyżu męki nadludzkiej, umierała z bólu, ale nie otwierała.

Na szczęście któryś z sąsiadów dosłyszał płacz dziecka i krzyknął do chałupy:

— Bójcież się Boga, przecież dziecko ledwie już zipie!
Wyjrzała oknem, jakby zakłopotana, i z jakimś dziwnym uśmiechem szepnęła:
— Cichocie, dziecko mi co dopiero usnęło...
— Jakże! Co wam się troi po głowie? Przecież... — cofał się przed jej obląkanym wzrokiem.

Położyła palec na ustach, siadła przy kołysce i zaczęła kołysać.

Nie pomogły żadne perswazyje, ni nawet żalosne kwilenia dziecka, nic już bowiem nie rozumiała, tylko, zapatrzona w pustą kołyskę, poruszała nią troskliwie i nieustannie.

Naszło się więcej ludzi, jęli się nad nią wyżalać, próbowali nawet ratować, ale nie zwracała na nich uwagi, a tylko kiedy niekiedy prosiła błagalnie i gorąco:

— Cichocie! Śpi mój robaczek najmilejszy, śpi! Cichocie!

Postali, pokiwali nad nią głowami, dziecko zabrał ktoś litościwy i porozchodzili się.

Dziecko w parę dni później umarło.

Powiedzieli jej o tem; uśmiechnęła się i, wyjąwszy z kołyski kukłę, uwitą z gałganów, opowiadała tajemniczo, rozglądając się przytem trwożnie dokoła:

— Wiecie, nie dałam Jasia! I nie oddam! Nie oddam!

Siadła pod ścianą, kukłę przytuliła do piersi i, huśtając ją, śpiewała bezprzytomnie:

„A! a! kotki dwa! Szare, bure obydwaj!”

V

Jechałem z Brześcia Litewskiego traktem, ciągnącym się na Kodeń, Sławatycze, Włodawę, Sawin do Chełma. Miałem znowu przed sobą parę znojnych dni, a do zrobienia koźmi kilkanaście opętanych mil, że musiałem sobie drogę podzielić na etapy. Na pierwszy, do Sławatycz, wiozł mnie dworski furman, stary wyjadacz, bywalec i gadatywus, który kraj okoliczny i ludzi i wszystkie sprawy znał, jak swoje konie, a przez całą drogę zabawiał mnie opowiadaniem.

— Państwo wołają na mnie Iwan — objaśnił, zbierając w garść lejce.

Obsadziłem się w bryczce, bat świsnął i konie poderwały się z miejsca.

— A naprawdę, to mi jest Nikon, ale taka już dworska moda, żeby forszmanom od cugowych było Jan albo Mateusz. Tu nad Bugiem każą być Iwanem! — zaśmiał się, paląc siarczyście z bata i skręcając na szeroką, błotnistą drogę.

Wyjeżdżaliśmy o świcie, przed słońcem, gdy jeszcze cała nizina nadbużańska tonęła w puszystych, białych kożuchach mgieł, a tylko na wschodzie, nad czarnymi chmurami borów, rozszczały się pierwsze, złociste zorze. Na czarnej, wyboistej drodze kałuże siwiły się, niby zmatowane rosą szyby. Gdzieniedzie z pól omglonych wybuchały kępy drzew, jak szare, przemiękłe pióropusze. Surowy, rzeźwy chłód zaciągał od Buga. Rosy podrywały ziemię, jakby szronem srebrnym i perlistym. Wsie jeszcze spały; szare, niebielone chałupy zaledwie majaczyły w głębinach rozemglonych sadów. W niezgłębionej cichości było tylko słycać ledwie pochwytny chrzęst zbóż, a niekiedy zabrzczał ściszony bełkot jakiegoś niedojrzanego strumienia.

— Złodziejska godzina! Nawet psy się pospały! — mruknął Iwan.

Byłem niezmiernie senny i pragnąłem się nieco przedrzemać, ale dyabelskie podskakiwanie bryczki na wybojach nie pozwalało zasnąć ani na chwilę. Dopiero, kiedyśmy wjechali w piachy, zacząłem się zwolna pogrążyć w niebiańskie rozkosze snu.

— Boćki jeszcze siedzą po gniazdach, to pewna pogoda! — huknął mi nad uchem Iwan, wskazując biczem na drzewo.

Zakląłem cicho, ale sen przepadł, a on pogadywał coraz żarliwiej:

— Kopy pływają, jak kaczki. Nie będzie latoś siana, zgnoi się na nawóz. Nowa bieda dla ludzi! Jakby starych było jeszcze za mało!... Stary, bo weźmiesz po portkach, uważaj krzyknął! — groźnie, przypinając koniom po takim bacie, że poderwały się gwałtownie, a ja tylko jakimś cudem nie wyleciałem z bryczki.

— Zna pan podlaskie strony?

Odwrócił się nieco do mnie. Zobaczyłem krótki, drapieżny profil, suchy, garbaty nos, przycięte wąsy, siwe baczki i małe, wielce ruchliwe oko.

— Znam, ale bardzo mało.

— To musiał pan widywać i tę szlachtę podlaską? Wielka mi szlachta: worek i płachta! — dodał wzgardliwie i, nie czekając mojej odpowiedzi, ciągnął dalej: — To chytry naród! Znam ich dobrze! Służyłem w jednym dworze pod Węgrowem. Tam, panie, po wsiach prawie niema chłopów, a tylko siedzi sama szlachta. Takiemu nieraz palce z butów wylażą, a każe sobie mówić „panie”. W pięciu mają jedną krowę. A jak pies siądzie na polu takiego dziedzica, to nie ma gdzie podziac ogona; musi go kłaść aż u sąsiada. Sklepiarze z nich tylko zmyslniejsze, niżli Żydy. A na grosz chciwe, a honorne, a zabijaki, że niech Bóg bron! Ale Polaki dobre i katoliki przykładne. Śmieszne tylko juchy, że aże boki zrywać.

Żebym chciał o nich opowiadać wszystko, tobym nieskończył i do wieczora. A wie pan, jak to taki szlachcic chciał się dostać do nieba?

Nie odezwałem się, poranek bowiem stał się przecudny i gdzieś z oparów nadbużańskich, czy z pól omglonych, nadpływał jakiś śpiew, śpiew nieco ściszony oddaleniem, lecz niezmiernie uroczysty, jakby święty chór tych świtań, zórz i nadchodzącego słońca.

— Co to za śpiewy? słyszycie?

— Pewnie jaka kompania ciągnie do świętego Onufra.

Śpiew buchał z jakiejś drożyny, ciągnącej się równoległe z naszą drogą, ale wśród zbóż i oparów niepodobna było dojrzeć ludzi.

A świt robił się już opalowy i przesycony zorzami, mgły unosiły się w górę i z pod nich błyskały zmatowane smugi porozlewanych wód, czarne, przemiękłe role i pochyłone żyta. Drzewa i wsie wyrastały coraz wyraźniej i bliżej. Zawiał pierwszy wiatr, ale tak cichy i pieśczośliwy, że ledwie się poruszały senne, opite rosą kłosa i liście zagmerały bez szelestu. Skowronek zaświergotał, a po nim wnet drugi, trzeci, dziesiąty bił skrzydłami a dzwonił w ciszy swój pacierz poranny. Bociany leciały nisko nad ziemią, gdzieś ku Bugowi. Jakiś tęskny, przeciągły ryk zadrgał w różowionem powietrzu. Koguty już zaczynały piąć tu i ówdzie. Dzień się zbliżał i wschodnia strona nieba nabrzmiewała purpurą i świetlistym majestatem jeszcze nie dojrzanego słońca.

— Widzę, że i tutaj dużo nowych krzyżów — odezwałem się, wskazując na jakiś świeżo dźwignięty do góry i jeszcze nie pomalowany.

— Ady tyle nastawiali, że, gdyby człowiek zważał na nie, to musiałby chodzić z czapką w garści — odburknął jakoś niechętnie.

— Nic dziwnego, bo dawniej nawet przewalonych nie było wolno podnieść.

— Dużo im przyjdzie z nowych! Tylko drzewa namarnują!...

— Przecież i prawosławni swoje stawiają...

— Jak im naczelnik przykaże i dobrze zapłaci, to stawiają! — warknął złośliwie, osadzając konie na miejscu, gdyż nagle wychyliła się ze zbóż kompania i wchodziła na naszą drogę.

Na przedzie jaśniał złocisty, ośmioramienny krzyż, a za nim cisnęło się kilkadziesiąt starych bab i wyrostków. Przykłękli na chwilę pod krzyżem, i ktoś zaintonował czystym, donośnym głosem:

Kiedy ranne wstają zorze...

Tłum ruszył i zawtórował pełną piersią, aż pieśń poniosła się nad pola nieobjęte i biła ku wschodzącemu słońcu:

Tobie ziemia, Tobie morze...

Śpiewali po polsku; słyszałem każde słowo, a nie mogłem uwierzyć.

Jechaliśmy tuż za nimi, wolno, bo mój Iwan również zaśpiewał:

Tobie śpiewa żywot wszelki,

Bądź pochwalon, Boże wielki.

— A skąd kompania? — spytałem chłopą, idącego obok mojej bryczki.

— My, panie, z Olszanki — odpowiedział przeciągle, czystą polszczyzną.

— A gdzież to dzisiaj odpust?

— W Jabłeczynskim monasterze, praznik świętego Onufrego.
 — To kompania prawosławna?
 — Prawosławna, panie.
 — Prawosławna i śpiewa po polsku? — Nie mogłem się połapać.
 — A po jakimuż mają śpiewać? Przecież po moskalewsku nie poradzą odmówić nawet pacierza — podniósł na mnie zdumione oczy. Ja również patrzyłem w niego, zdziwiony tem niespodzianem wyjaśnieniem.
 — Siadajcie, podwożę was kawałek drogi.
 Wgramolił się na bryczkę, pochwaliwszy Boga polskim obyczajem.
 Zaczęliśmy pogadywać o tem i owem; chłop był chytry, odpowiadał wymijająco i sam mnie ostrożnie wybadywał, ale w końcu rozgadał się dosyć szczerze.
 — Jak odłączą Chełmszczyznę, to wam zabronią mówić po polsku...
 — Musieliby strażników stawiać w każdej chałupie. — Machnął lekceważąco ręką. A po jakiemu to mamy mówić? Dawniej, jeszcze za unii, to po wsiach gadali po naszymu, po chłopsku, ale teraz już mało kto rozumie, chyba starzy. Młodzi się nawet tego wstydzą.
 — Ale podpisywaliście się za odłączeniem Chełmszczyzny?
 — Podpisywałem się, panie, bo mi kazali. Zwołali nas do popa i wytłumaczyli, że, jak odbiorą Chełmszczyznę od Polski, to wszystkie pańskie ziemie darmo rozdadzą między prawosławnych.
 — Obiecanki cacanki, a głupiemu radość — rzucił Iwan.
 — Najwięksi urzędnicy obiecali, to może i dadzą...
 — Dostaniecie tyle, że wam sam dyabeł z pleców nie odbierze. Pamiętacie jak to brali oporni? — dogadywał Iwan.
 Chłop milczał długą chwilę, a w końcu rzekł najspokojniej:
 — A jak nam ziemi nie dadzą, to się wszyscy przepiszemy na katolików.
 Oniemiałem ze zdumienia, lecz Iwan zaczął się głośno śmiać.
 — Nie mówię na śmiech — zgromił go tamten surowo i ciągnął bardzo poważnie i z przekonaniem: — Ten sam Pan Bóg jest w kościele co i w cerkwi. Ale w kościele jakoś milej, bo i nabożeństwo ładniejsze, i pośpiewać można, i muzyka gra, i z procesyami chodzą, i ksiądz czasem na kazaniu powie tak prosto do serca, że człowiek się wypłaczę, i zaraz mu ulży. Już mi nawet dzieci grożą, że, jak tylko dorosną, to się zaraz przepiszą. Przecież wszystkie dziewczyny i chłopaki z całej wsi co niedziela latają do kościoła. Do cerkwi to ich nawet kijem nie napędzi. Bo jedna wiara powinna być dla wszystkich; a przez to, że jeden dom katolicki, a drugi prawosławny, to po wsiach tylko ciągle kłótnie, gniewy i obraza Boska i zgorszenie. Nawet Żydy się wyśmiewają, że w każdej chałupie innego dnia święto.
 — To czemu się nie przepiszecie na katolika? — spytał go Iwan.
 — A jakby nam ziemię rozdali?
 — To nie wiecie, co w Hrubieszowie powiedział chłopom wasz biskup?
 — Coś mi tam mówili, ale nie pamiętam co.
 — Przyszli się upominać o grunta, obiecane przy podpisaniu, to im rzekł: „Ziemia nie guma, to jej dla was nie rozciągnę”.
 — I naprawdę tak powiedział? — pytał ściszym, trwożnym głosem.
 — Słyszało więcej, niż sto ludzi. I powiedział prawdę. Cudzego przecie nie weźmie, nie dadzą, a wam nie odda!
 Dosyć długo mu o tem wykladał, aż chłop sposepniał, twarz mu się poredliła brózdami troski, oczy przygaśły, i w końcu skinął mi głową, wyskoczył na ziemię i powlókł się na samym końcu kompanii, srodze zadumany.
 Wyminęliśmy kompanię tak wolno, że miałem czas ją przeliczyć: wszystkiego szło trzydzieści osiem osób.
 — Jakoś nie wiele ciągnie na praznik — zauważyłem.
 — Bo teraz już nie płacą za „bohonomie” po praznikach i cudownych miejscach, to się ludziom niesporo wybierać na własny koszt! — zaśmiał się Iwan, popędzając konie. Ale, dojrawszy moje niedowierzanie, dodał cynicznie:
 — Sam dawniej brałem strawne za takie spacery. Wychodziłem się nie mało! Byłem z „bohomolcami” w Poczajowie i w Ławrze kijowskiej, i w Leśnej, i w Radecznicy, wszędzie gdzie mi kazali.

Leciałem z ochotą, bo wyzerka po monasterach była za darmo i gorzałki, wiele tylko dusza chrześcijańska wstrzymała. Ale teraz zmądrzeli, już pieniędzy nie dają, to i bohomolców z naszych stron coraz mniej.

— To wyście prawosławni?

— Przecież każdemu są miłe własne kości. Napatrzyłem się przy zniesieniu unii tyle, że mi wystarczy do sądnego dnia. Widziałem, panie, jak całe wsie pławiły się pod batami we krwi; widziałem, jak marli ludzie pod pratulińskim kościołem; widziałem, jak setkami wlekli do więzień i wyganiali we świat. Przecież i moja wieś się opierała i brała nahaje, to i ja brałem swoją część i wraz z drugimi poszedłem do więzienia. Młody jeszcze byłem, skórę miałem laskotliwą i, mówiąc naprawdę, to mi pod batami tak już obmierzyły wszystkie wiary, że, jakby mi byli kazali zostać Żydem, to byłbym tak samo został, jak i prawosławnym. Nie moja głowa wybierać, co lepsze.

Opierałem się tylko dla matki, bo mnie wciąż zaklinała na wszystkie świętości. Popędzili mnie do Białej. Siedziałem ze trzy miesiące. Z początku było mi niezgorzej: jeść dawali, było ciepło i roboty żadnej. Ale się wciąż opierał i mówiłem: nie i nie! Przesadzili mnie na osobność i dali funt chleba na dzień. Wytrzymałem. Cóż tam głód dla chłopca: rodzona matka, nie macocha! Ale w końcu wzięli się na sposób i zaczęli mnie żywić kaszą ze starem sadłem. Tego, panie, nie mogłem już przetrzymać. W pieklebym wytrzymał, ale tej kaszy nie poradziłem! Po tygodniu zgodziłem się na wszystko, co tylko chcieli. Aże mnie mgli na samo przypomnienie. Na stare sadło złowili sobie duszę...

Gruchnął takim złym i cynicznym śmiechem, aż mnie przeszedł zimny dreszcz. Spojrzałem na niego z pewną przykrością i żalem.

— A później przejrzałem wszystko na wylot i teraz wiem, że jedni i drudzy tak samo dyabła warcili! — zaczął gniewnie i opryskliwie. — Każdy chłopca ciągnie na swoją stronę, bo każdy tylko z chłopca żyje. Może nieprawda?

Nie odpowiedziałem. Milczał czas jakiś, konie popędział i znowu się odwrócił do mnie:

— Żeby się im nie przytrafiło, jak tym babom, co się kłóciły o psa i dalejze go sobie wydzierać, aż się psu sprzykrzyła ta zabawa jego skórą... i pogryzł obie.

VI

Nie pamiętam już, gdzie zauważyłem po raz pierwszy krzyż, postawiony w czystym polu, ale pamiętam, że stał samotnie wśród zbóż rozkołysanych i otwierał białe ramiona, jakby chcąc przygarnąć w miłosiernym uścisku pocieszenia całą tę ziemię nieszczęsną. Myślałem, że to mogła samobójcy, lecz później, w dalszej wędrówce po Chełmszczyźnie, zobaczyłem jeszcze więcej takich samotnie stojących krzyżów; dźwigały się po miedzach, w lasach, w głuchych pustkach i nad rzekami, w gęstwinach wiklin i olch, a zawsze zdala od ludzkich siedzib i dróg wszelakich.

Dziwiło mnie głównie to, że wszystkie były nowe i jakby w jednym czasie postawione, ale tak się złożyło, iż dopiero w okolicach Chełma spytałem się o ich znaczenie.

Chłop, który mnie wiozł, spochmurniał nagle, rozejrział się nieufnie, chociaż jechaliśmy pustą drogą, i odrzekł cicho:

— To mogiły „najoporniejszych”. Wieczny odpoczynek daj im, Panie!

Westchnął i jakby się pogryzł w smutne rozpamiętywania. Nie śmiałem przerywać modlitewnego nastroju i milczenia.

Upał tego dnia był nie do wytrzymania. Niebo wisiało białawą, rozpaloną blachą, i słońce lało takim warem, że konie ledwo już się wlokły, a rozprażona cisza pól ogarniała niezmożoną sennością. Cały świat omdlewał w słonecznej pożodze. Kłosa zbóż ciężko zwisały nad drogami; samotne drzewa, opłynięte białawym, rozedrganym skwarem, stały podobne do płomienistych wybuchów; nawet cienie leżały pokurczone, niby liście, powiędłe z żaru. Rozżarzone, migotliwe światło wyżerało oczy, kurz zapierał piersi, oddychało się duszącą spiekotą, parzyła ziemia, parzyło powietrze, parzyło wszystko. Drogi leżały puste i wyschnięte, na polach nie ujrzał ani żywej duszy: lipcowe popołudnie spędziło wszystkich pod strzechy. Zamilkły ptaki, nawet skowronki nie dzwoniły, a tylko czasem przeleciała nisko nad ziemią wrona z rozziajanym dziobem, gdzieś w żytnich puszcach zawołała przepiórka, lub furknęły młode kuropatwy.

— Daleko jeszcze mamy do Chełma?

Nie mogłem już znieść milczenia.

— Niedaleko — ocknął się prawdopodobnie. — Zdążymy ze słońcem.

Na szczęście wjeżdżaliśmy w jakiś las, gęsto podszyty, i w rowie zalśniła woda, do której konie same skwapliwie skreńczyły.

— A możebyśmy przeczekali upał? — proponowałem, ledwie już żywy.

— Dobrze. Konie wytchną, i człowiek rozprostuje gnaty.

Bór nas skrył cieniem i chłodem, z głębin były wilgotnawe powiewy, przesycone żywicią i słoneczną zgnilizną. Wyciągnąłem się na trawie z rozkoszą. Chłop rzucił koniom siana, usiadł przy mnie, fajkę zapalił i zaczął mówić szeptem, jakby do siebie:

— Tam leżą tacy, którzy nawet po śmierci jeszcze „uporstwiają”. Tak, panie — ożywił się nagle i podniósł głos. — Przecież te straszne lata to człowiek musiał się obywać bez chrztów, bez kościoła i bez ślubów, a jak umierał, to i bez chrześcijańskiego pogrzebu. Nie było wolno się nam rodzić, ani umierać. A kto nie chciał iść do grobu w asyście popa i strażników, tego się grzebało pokryjomu, nocami, a często i w nie poświęcanej ziemi, jak zapowietrzonego. Sypały się potem na nas kary, sypały. Człowiek przecież nie mógł przepaść bez śladu, trzeba było zrobić w kancelaryi akt zejścia, to pisarz zaraz pytał: — Gdzie nieboszczyk pochowany? — W ziemi. — Ale który pop go chował i w jakiej parafii? — W ziemi. Przecież cały świat jedna Boża parafia. — Często, gęsto oberwało się przytem pięścią, ale człowiek musiał powtarzać tylko to jedno: W ziemi. Bo i prawdę powtarzał. Strażnicy potem latali, jak wściekli, wyszukując trupa po cmentarzach, a znaleźli, to pochowali po raz drugi, ale po swojemu. I mnie spotkało takie nieszczęście. Straciłem był chłopca. Miał już na piąty rok. Zmarnował się na krosty. Pochowałem go, jak się wszystkich naszych chowało, w głuchą noc i kryjomo; a chociaż mogiłkę zrównałem z ziemią i założyłem darnią, strażnicy ją wywączali, rozkopali grób i trumienkę wyciągnęli; pop ją pogrzebał po raz drugi, na innem miejscu i z wielkimi ceremoniami.

Napróżno moja żona bronila dziecka — nie przemogła. Jeszcześmy potem zapłacili sztraf i w kozie siedzieli. A nie tak dawno, bo z dziesięć lat temu, przyszła na mnie nowa bieda. Umarł mi zięć. Twardy to był Polak i gorliwy katolik, dopomagał też „opornym”, jak tylko potrafił, księży przewoził i książeczki po wsiach roznosił, nawet do Rzymu jeździł ze starym Błyskoszem. Przeziębł się na misyach i do trzeciego dnia już był gotowy. Ale ostatnim tchem prosił, żeby go po śmierci nie wydać popu. Sprawa była ciężka: znali go dobrze strażnicy i wciąż za nim śledzili, tylko, że się im zawsze wyslizgiwał z pazurów, jak piskorz. Więc skoro gruchnęło po wsi o jego chorobie, starszy zamówił się do nas, niby to w jakimś interesie. Zaraz zmiarkowałem, że chce zobaczyć, czy chory długo pociągnie. Nie dałem tego poznać po sobie, ale chory, chociaż ledwie o Bożym świecie wiedział, zakrzyczał:

— Twój brodacz jeszcze mnie nie pochowa! Jeszcze wyzdrowieję!

Starszy odszedł i na drugi dzień znowu przyszedł, a że chory już był nieprzytomny, to zaglądał do chałupy co parę godzin i czyhał na niego, jak dyabeł na dobrą duszę. Trzeciego dnia, jakoś o zmierzchu, zmarło się choremu. Zatailiśmy śmierć nawet przed najbliższymi sąsiadami. Pozasłaniałem okna, i chociaż wśród płaczów i narzekań, a trzeba było pomyśleć, co dalej robić, boć do trzeciego dnia nie mogliśmy zwlekać z pogrzebem. Bałiśmy się, że strażnik przyjdzie rano i nieboszczyka już nam ze swoich garści nie popuści. Rada w radę, postanowiliśmy pochować go jeszcze tej nocy; nie sposób było ryzykować ani jeden dzień. Na szczęście noc była chmurna, i padał drobny, gęsty deszcz; kobiety przybrały nieboszczyka, ja zbilem bylejaką trumnę, i zaraz po północy powieźliśmy go polami do lasu, w takie miejsce, że ani się mógł kto domyślić. Co tam przytem było płaczu i lamentów, to już lepiej nie wspominać... Wróciliśmy o samym świcie, i tylko co głowę przyłożyłem do poduszki, aż tu przylatuje mój najstarszy i powiada:

— Od naszej stodoły, przez pola i do samego lasu, znać, jakeśmy w nocy jechali. Jak trafią na te ślady, to i grób znajdą.

Co tu robić? Myślałem, że mnie krew zaleje. Przecież takich śladów nie zatrze na poczekaniu. Było to na wiosnę, grunt był spulchniony pod zasiew, że miejscami koła zarzynały się po osie... Medytujemy, co począć, gdy ktoreś z dzieci krzyknęło:

— Strażnik na wsi! Pewnie idzie do nas.

— Jezus Marya! Wszystko się wyda i wykopią go, jak Jasia!

Ale Pan Bóg mnie oświecił i natchnął Duchem Świętym: kazałem synowi położyć się do łóżka po nieboszczyku, kobiety obwiązały mu głowę mokremi szmatami, przykryły go pierzyną, i wdowa usiadła przy nim, nie powstrzymując już tych łez rzewliwych, jakie wylewała po mężu, i tych wzdychań bolesnych.

Starszy wszedł i zaraz od progu pyta o chorego zdrowie.

— W Bogu nadzieja, że może jeszcze wyzdrowieje — powiedziałem.

Popatrzył na nas, przeżegnał się i wyszedł.

A po południu zjawił się pop, aby go przysposobić na śmierć. Wdowa zagroziła mu sobą drogę i gębę wywarła. Nie uląkł się jednak kobiecych natrzasań, był już nawykły do takich przyjęć. Ale jakem powiedział, że zięć choruje na ospę, przybladł i wyniósł się, jak niepyszny: miał przecie ośmioro drobiazgu. Tylko strażnik zaglądał do nas przez cały tydzień i niczego się nie domyślił. Dopiero, kiedy deszcze rozmyły owe ślady, że i dyabeł nichy po nich nie wytropił, dowiedział się o wszystkim. Dziw, że się nie wściekł ze złości! Szukał też dniami i nocami, ale złapże ten wiatr w polu... Odsiedziałem za tę sztukę parę tygodni. Cóż robić, panie, kiedy sami zmuszali nas do cygaństwa. Żyliśmy pod ziemią, jak krety, to i po kreciemu trzeba się było bronić. Mój Boże, ileż to razy człowiek wędrował o kilkanaście mil do kościoła, i z przed samego ołtarza strażnik go wyciągał za łeb i prowadził do kozy na inne, dłuższe pacierze. A często i sami księża odpędzali nas od kościołów, jak oparszywiałe psy, bali się bowiem „opornych” gorzej, niżli śmiertelnego grzechu — zakończył, żegnając się, jakby na odpędzenie ciężkich przypomnień.

Kiedy się nieco ochłodziło na świecie, ruszyliśmy dalej, a on zaczął mi szczegółowo opowiadać przesmutne dzieje swojej parafii. Mówił cicho, monotonna i bez żalu, jakby powiadał zwykle codzienne sprawy, które musiały przyjść i które człowiek musi przenieść. A ja słuchałem z zapartym tchem, pełen zgrozy, bólu i zdumienia. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakąś straszliwą tragedię, pełną łez, jęków, bezbronnych ofiar i nadludzkich bohaterstw. Ale nie, to była prawda i rzeczywistość, jak prawdą był ten dzień upalny, ta droga, dudniąca pod kołami, i ten stary, pochylony chłop — to była okrutna prawda o przeszłości tego męczeńskiego ludu „opornych”. Nie mogę opisywać wszystkiego, bo musiałbym rozsnuwać dzieje każdego człowieka, każdej chałupy i każdej grudki ziemi, przesiąkłej krwią i łzami. Przytoczę tylko jeden fakt niezmiernie charakterystyczny i typowy.

W roku 1883, w początkach lutego, umarła w Janowie Podlaskim niejaka Agnieszka Semeniuk, jak wszyscy „oporni”, gorliwa katoliczka. Przed śmiercią zakłęła na wszystkie świętości rodzinę i swoich najbliższych, żeby ją pogrzebali chociażby w dole po kartoflach, byle tylko po katolicku. A sprawa była niełatwa, gdyż cmentarze w tym czasie były już srogo pilnowane, zwłaszcza nocami, żeby przeszkodzić tajnym pogrzebom „opornych”. Wzięli się więc na sposób i postanowili ją pochować w biały dzień, kiedy cmentarz był najmniej strzeżony.

Jakoż trzeciego dnia zebrało się przy zmarłej kilkanaście kobiet, wzięty trumnę pomiędzy siebie na prześcieradła i ruszyły bocznymi uliczkami ku cmentarzowi. Szły cicho, bez śpiewu, jak lękliwe, czarne cienie, ale i tak je dojrzał jakiś „duszogub” i dał znać policyi. Zastąpiło im wnet drogę paru strażników i zawrzała krótka walka, bo kobiet było więcej; rozpędziły napastników i poszły śpiesznie dalej.

Rozległy się świsty, nawoływania i tętenty, a zanim zdążyły do grobu, rzuciła się na nie cała zgraja z dobytymi szablami. Jedne kobiety zwały się w krąg trumny, drugie się aż na niej pokładły i broniły nieboszczki zębami i pazurami. Wrzask rozniósł się po całym mieście, naleciało się ludzi, a bójka toczyła się coraz zawzięciej; trumna przechodziła z rąk do rąk i w końcu, przy wydzieraniu jej sobie, padła na bruk, rozbita, i nieboszczka wyleciała w śnieg. Krzyk gruchnął niebosiężny, podniosły się straszne płacze i szlochy, czem rozsrożone jeszcze bardziej kobiety rzuciły się na strażników z taką furją, że po chwili zrobiła się jedna olbrzymia kupa ciał, tarzających się po ulicy z dzikim wrzaskiem nienawiści.

Skorzystały z tego jakieś rozważniejsze, porwały trupa i, obwinąwszy go w chusty, pozdzierane z własnych pleców, zaczęły z nim uciekać, ale już nie zdążyły. Nadbiegło bowiem jeszcze więcej strażników ze starszym na czele, trupa odebrali, a włożywszy go do trumny, kobiety rozpędzili na cztery wiatry. Musiały ustąpić przed siłą, tylko, widząc, że sprawa przegrana, wybuchły straszny rykiem i przekleństwami.

Na placu została tylko trumna i strażnicy, nie wiedząc, co z nią zrobić, gdyż do cerkwi było daleko, a nikomu nie chciało się jej nieść.

Nadjechał na to jakiś chłop. Kazali mu trumnę wieźć, ale chłop zmiarkował, o co idzie, zaciął konia i uciekł.

I nikt w całym mieście, pomimo próśb i gróźb, nie chciał dać koni, a trumna, powiązana sznurami, wciąż czekała na środku ulicy.

Wreszcie, o zmierzchu, przyjechał z Błonia jeden z gospodarzy, i dopiero tego przymusili, że zawiózł nieboszczkę do cerkwi.

Nazajutrz za pogrzebem poszedł tylko pop, dyak i wszyscy, jacy byli w mieście strażnicy, a z każdego domu popłynęły za nim ciche, żałosne płacze i wyrzekania.

VII

Noc zapadła mętna i nieco burzliwa. Wiatr ze świstem zamiatał drogi, bijąc tumanami kurzawy, po ołowianem niebie przewalały się długie warkocze grzmotów, i co chwila latały oślepiające błyskawice, w których było widać, jak się szarpały przydrożne drzewa i rozkolebane, spienione zboża. Burza mogła wybuchnąć lada chwila.

— Może przedzie bokiem, a może nas i zleje — pocieszał nas furman, pokrzykując na konie, bo wlokły się noga za nogą; droga bowiem była ciężka, wyboista i pełna kamieni, a z obu stron ciągnęły się głębokie rowy, przyczajone w ciemnościach. Już od zmierzchu jechaliśmy tak wolno i na chybił trafił, więc, dojrawszy przemykający zarys jakiegoś człowieka, pytam go skwapliwie:

— Którędy do Chełma?

— Szosą na prawo, a potem na lewo.

— A gdzie ta szosa, daleko?

Człowiek rozwiął się, jak cień. Bądźże teraz mądry i szukaj wiatru w polu, kiedy obaj z woźnicą nie znaleźmy drogi.

— Po dniu, to trafiłbym i do piekła — mruczał furman.

— A mówiliście, że drogę znacie.

— Przecież nieraz wozilem do Chełma starego pana, tylko z innej strony.

Jechaliśmy dalej zupełnie po omacku, kierując się tylko jękiem drutów telegraficznych nad naszemi głowami. Noc stawała się coraz burzliwsza i mętniejsza, drogi opustoszały, i po wsiach nie było już ani śladu, jakby przepadły w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Tylko za moich czasów nie było jeszcze szosy — odezwał się po chwili.

— A dawno jechaliście ostatni raz do Chełma?

— Będzie chyba ze czterdzieści років, jeszcze w powstanie.

Dałem już spokój indagacyom, bo szosa zadudniła pod kołami, a konie raptem przystanąły.

— Zgadnij teraz, zgadula, gdzie złota kula? — biedził się zakłopotany.

— Szosą na prawo, a potem na lewo — przypomniałem.

Konie ruszyły z kopyta. Gdzieś przed nami zamajaczyły jakieś światełka, i daleko, daleko leciał przesywający świst parowozu.

— A potem już nie przyjeżdżałem, bo mnie z moim panem popędzili aż za Bajkał, to człowiek i zapomniał drogę — usprawiedliwiał się znowu.

Mijaliśmy długie wzgórza, pokryte lasem, gdy naraz doleciał nas rozpaczliwy skowyt psów i straszliwy zapach padliny.

— Hycle pachną, to i Chełm musi być niedaleko — zauważył³

— Popędzajcie! — krzyknąłem, gdyż smród był nie do wytrzymania.

— Jedziemy pod wiatr — tłómaczył flegmatycznie — przecież pod każdym miastem są takie hyclowskie osady, ale żeby tu pozwolili tak przy samej szosie — dziwił się głośno i podcinał konie dla pośpiechu.

Przedostawszy się przez tę zapowietrzoną strefę, skręciliśmy na lewo, w szeroką ulicę, obstawioną małymi, niskimi domami, nad którymi majaczyły baniaste kopuły. Wkrótce droga zaczęła się zwolna podnosić, i przybywało coraz więcej światła, że już cała droga roiała się niemi, jakby pokryta mrowiem świętojańskich robaczek.

³Błąd w druku; brak kropki na końcu zdania. [przypis edytorski]

Chełm był tuż przede mną, płatanina domów ogrodów i cerkwi, osypana błyszczącą rosą świateł, piętrzyła się na tle nieba czarnymi, groźnymi konturami.

Przez parę tygodni z rzędu, a tak złowrogo brzmiała mi w uszach nazwa tego miasta, że wjeżdżałem do niego z uczuciem dziwnego niepokoju i obawy. Są bowiem „złe miasta”, które, jak i źli ludzie, roztaczają dokoła siebie atmosferę niewytłomaczonej trwogi. Takim „złym miastem” wydał mi się Chełm.

Dlaczego lud w swoich podaniach i wierzeniach zawsze zaludnia szczyty gór dyablami i czarownicami? Leży w tem jakiś głęboki symbol niezbadanej prawdy. A Chełm rozłożył się na dosyć wyniosłym wzgórzu, panującym nad rozległą okolicą. I jakby na stwierdzenie wierzeń, gnieździ się na tej górze jakieś „zło”, które już od wielu, wielu lat posiewa dokoła zatrute ziarna nienawiści, krzywdy i nieszczęścia, a ten posiew wschodzi, plonuje i rozlewa się całym morzem łez, krwi i cierpienia.

Było już dosyć późno, i z racy piątku cały Chełm pachniał szabasowymi specyałami. Ulice były puste, sklepy pozamykane, a tylko tu i ówdzie poza rozjarzonymi szybami kiwały się stare, pobożne głowy.

Nazajutrz od samego rana wyszedłem na miasto.

Po nocnej burzy nie było już ani śladu, pogoda zrobiła się wspaniała, błękit nieba lśnił niepokalany, kopuły cerkwi grały w słońcu barwami złotemi, a z pól zawiewał wietrzyk, pachnący skoszoną koniczyną. Ale samo miasto, pomimo prześlicznego położenia, jest brzydkie, ladajako zabudowane, straszliwie brudne i literalnie zapchane żydowskimi kramikami: ot, zwykła nasza powiatówka, składająca się z jednej dosyć szerokiej ulicy, która się ciągnie grzbietem wzgórza do stóp katedry, i z kilkudziesięciu zaułków, rozrzuconych bezładnie po stromych zboczach. Imponująca jest tylko liczba cerkwi, ich ogrom i wspaniałość; naturalnie, że wszystkie są świetnie wyposażone i stoją pustkami, gdyż prawosławnych nie starczy na wypełnienie chociażby jednej. Za to kościół katolicki, liczący przeszło piętnaście tysięcy parafian, nie może pomieścić swoich wiernych nawet zwykłego dnia na mszy. Ale taka już nasza dola: „Jednemu sztydło goli, a drugiemu i brzytwa nie chce”, mówi przysłowie.

Dawna katedra unicka, przerobiona po zniesieniu unii na sobór prawosławny, dominuje nad miastem, wznosi się na szczycie góry, a obok niej wyrosła nowa, wysoka dzwonnica.

Na szerokich, kamiennych schodach, prowadzących od strony miasta na górę katedralną, siedział cały rząd niezmiernie charakterystycznych dziadów, i zaledwie postawiłem nogę na stopniach, gdy opadło mnie stado jastrzębich spojrzeń, kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się do mnie i schrypięte, jękliwe głosy jakby automatycznie zaintonowały błagalny chór, zaklinający na Częstochowską, Ostrobramską i Kodeńską, abym się ulitował nad nieszczęśnikami.

Zebrali taką dobrą polszczyznę, że odszedłem o parę złotych uboższy. Przystanąłem na szczycie schodów, olśniony przepięknym widokiem, jaki się stamtąd roztacza na niezmierną przestrzeń pól, pofalowanych wzgórzami, pełnych drzew, wiosek, czarnych plam lasów, krętych strumieni, połyskujących w słońcu i ptasiego świegotu, kiedy dziadowski śpiew znowu mi zajączkał w uszach.

Po schodach szedł jakiś oficer z damami, a wyciągnięte ręce zabiegły im drogę, i proszalny chór znowu zaklinał, tylko że już w innym języku i na inne świętości, bo na Kazańską, na Poczajowską, na Św. Mikołaja i na wiele takich imion, które usłyszałem po raz pierwszy w życiu. Musieli być szczerze opatrzeni, gdyż jeszcze długo ślali błogosławieństwa i dziękczynienia.

Nie czekając już na więcej dowodów tej mądrej dziadowskiej polityki, poszedłem do soboru. Trafiłem jednak nieszczęśliwie, gdyż z powodu odnawiania główny ołtarz i wszystkie wspanialsze ikony były pozasłaniane. Główną nawę wypełniały rusztowania, farba pryskała na wszystkie strony, a gdzieś z pod sufitu rozlegała się „ojra”, zapamiętała wygwizdywana. W bocznych, nawach cichych i mrocznych również nie było nikogo.

— Czy tutaj zawsze tak pusto? — pytam jakiegoś robotnika.

— Jak napędzą, to i goście są — odpowiedział, zajrzał mi w oczy i cofnął się w głąb soboru.

Wyszedłem na plac, zalany słońcem i oślepiającą białością murów. Nie było nigdzie widać ani żywej duszy, a mimo usilnych poszukiwań po przyległym parku, nie znalazłem nigdzie ani śladu tych pobożnych tłumów, jakie, wedle zapewnień „istinnych”, mają wciąż, dniami i nocami płynąć do soboru z całej Chełmszczyzny.

Wstąpiłem do Muzeum, które, jak i wszystkie gmachy, otaczające sobór, są bardzo czyste, bardzo monotonne, bardzo starannie utrzymane i w bardzo „kazionnym” stylu wzniesione. Muzeum składa się z kilku niewielkich pokojów i jednej ogromnej sali, przeznaczonej na zebrania „Bractwa”. Na jednej ze ścian wiszą w parę rzędów portrety dawnych biskupów i metropolitów unickich, owi Pocięje, Terleccy i Rutsy, twórcy unii, jej dobrodzieje, obrońcy i męczennicy, a z przeciwnej strony czernią się surowe, fanatyczne głowy współczesnych pasterzy, ze sławetnym Eulogiuszem na końcu. Dwa światy patrzą na siebie niemymi oczyma, dwie kultury i dwie przepaście, niczem i nigdy nie zasypiane.

W rogu sali wisi obraz cudownej Matki Boskiej Chełmskiej z XVII wieku, przez wieki czczona na unii, ale obecnie zdegradowanej i wyrzuconej z soboru, prawdopodobnie dlatego, że jest namalowana i ubrana nie po formie. Miejscowy „Chołmskij narodny kalendar” za rok 1909 tak mówi o pewnym szczególe tego obrazu: „koło prawego ramienia Matki Boskiej, na sukni wisi order Orła Białego, który z głupoty (po nierazumieniu) zawiesił polski król Jan Kazimierz, wygrawszy bitwę pod Beresteczkiem”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym! Gdzie Beresteczko, a gdzie czasy „Orła Białego”?

Nie jest to jedyny kwiatek „uczoności” autora, gdyż na następnych stronicach tego samego artykułu używa sobie jeszcze lepiej i wylewa całe morze fałszów i kłamstw na dawnych biskupów unickich, a zwłaszcza Pocięja traktuje, jako ostatniego szubrawca i złodziejazka, który okradł cerkwie prawosławne i pastwił się nad duchowieństwem i „więcej był rozbójnikiem, niż metropolitą”. W takim tonie „istinniej” prawdy trzymany jest cały kalendarz, i taką samą zawierają te setki broszur, wydawanych przez „Bractwo” i celowo rozrzucanych w dziesiątkach tysięcy pomiędzy ludem. Polskość i katolicyzm to owa czerwona płachta, na której wspomnienie ogarnia „istinnych” karyerowiczów chełmskich taki paroksyzm wściekliwości, że wtedy wyrzucają z siebie stek kłamstw, denuncjacji, oszczerstw i gróźb. Bredzą już nieprzytomnie, jakby zatruci własnym jadem nienawiści. Doprawdy, że budzą mimowolne politowanie.

W pozostałych paru pokojach „Muzeum” zgromadzono to, co się tylko dało zebrać z dawnych kościołów unickich, a co jeszcze jakimś cudem ocalało z grabieży zniszczenia. Tłoczą się więc jakieś połamane szczątki rzeźb, złociste feretrony, portrety kolatorów, sygnaturki, święci w mnisich szatach, zmartwychwstające Chrystusy, Matki Boskie, chorągwie, drewniane anioły z rozpostartymi skrzydłami, monstrancje, krzyże, kielichy, mszały i różne aparaty kościelne — wszystko gwałtem spędzone z różnych stron, odrapane, zabrudzone, ponadłamywane i kalekie, zalega bezładną ciżbą ściany, podłogi, gablotki, szafy i ciśnie się tłumem sierocym a żalonym do zakratowanych okien i, uwięzione na wieki w tych białych, zimnych murach, zda się trwożliwie nad słuchiwać wichrów, niosących echa dalekich pól, wiosek i chat.

Już słońce zachodziło, gdy się znowu znalazłem na głównej ulicy Chełma.

Szedłem środkiem ulicy, gdyż trotuary były wprost zatłoczone szabasową publicznością, płynącą czarną, rozszwargotaną i nieustannie wzbierającą rzeką, która stawała się coraz bełkotliwszą i rozlewała się coraz szerzej, że tylko niekiedy mignęła gdzieś urzędnicza czapka, zabrzączał pałasz oficerski, lub przemykał trwoźnie, nad samym rynsztokiem, jakiś zwykły, cywilny aryjczyk.

— A gdzież są Rosyanie w tem odwiecznie rosyjskim mieście? — pytam znajomego.

— Mamy wszystkiego coś z pięć rodzin rosyjskich, naturalnie prócz urzędników, ale niech pan poczeka: jak Chełm zostanie awansowany na gubernialne miasto, to przybędzie ich tutaj znacznie więcej — przecież otworzy się tyle nowych posad! A zresztą i Żydzi się postarają, żeby się tu zmieniło nie do poznania, jestem bowiem pewien, że, jak tylko poczują w tem jaki interes, to sami się przebiorą w tułupy i czerwone rubaszki, zmienią język, przemalują szyldy, zaprenumerują odpowiednie pisma i zaczną krzyżeć przy każdej sposobności: „mi russkije ludi”, a nas będą tropili gorliwiej i zacieklej, niżli to nawet czynią sami „istinni”. No i dadzą miastu taki charakter, jaki będzie potrzeba.

— Trudno im będzie tak na poczekaniu przerobić Chełm.

— Powierzchniowo zmienić jest bardzo łatwo, pomogą im w tej pracy, i za parę lat Chełm tak będzie wyglądał, jak wyglądać powinien. Miasto niewielkie i ludność bez głosu, to łatwo przecharakteryzować wszystko na styl „kazionny”... Dachy się pozieleni, a ściany skąpią w takiej „malinie”, że będą się czerwieniły, jakby obdarte ze skóry; doróżkarzy wypchają, żeby przypominali kopy siana, zabronią na ulicach mówić po polsku, zniszczy się, co tylko jeszcze przypomina „zgniły zachód”, resztę kościołów poprzera bia się na cerkwie, wyda się nieco broszur, dowodzących naukowo, jako w Chełmie nie powstała ni jedna polska noga, i w końcu sami uwierzą, że to miasto było i jest czysto rosyjskie. A jak się trafi jeszcze parę żydowskich pogromów i parę grubych „niedoimek” w kaznaczejstwie, to i czemże się będzie różniło od Homlów lub Berdyczowów? Chyba tylko stanem wzmocnionej ochrony, zaprowadzonej już na stałe.

— Ale cóż im przyjdzie z takiej maskarady?

— Państwu nic, ale tym, co to robią, wszystko, bo ordery, awanse i nagrody. Zdaleka bowiem będzie robiło wrażenie, że coś robią naprawdę, czegoś bronią i coś tworzą. Przecież tu tylko chodzi o jakiegokolwiek pozory do odznaczenia się i zasług.

— Więc pan przypuszcza, że Chełmszczyznę odłączą?

— Jestem tego najzupełniej pewny. Za wielu ludzi ma w tem swój własny interes. Trzeba zdobyć Chełmszczyznę i rzucić ją na pastwę zawsze głodnemu tłustych posad molochowi. A że za to zapłaci chłop ruski czy polski, że zapłaci upadek kultury całego kraju, że popłyną nowe morza łez i nowe krzywdy spadną na miliony, cóż to obchodzi tych wszystkich, dla których jedynym Bogiem jest „czyn”, a istotnem, rzeczywistem świętem każdy 20 — ty miesiąca!

Im zawsze będzie dobrze, ciepło i syto.

Praca niniejsza drukowana była pierwotnie w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym” w r. 1909.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-ziemi-chelmskiej>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, *Z ziemi chełmskiej*. Wrażenia i notatki, wyd. nowe, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk W.L. Anczyca i spółki, Warszawa 1916.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Michael (a.k.a. moik) McCullough@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0809-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.